

# Barbara Cartland

## Skradzione serce

A Heart is Stolen



Od Autorki

Rok 1802

Dziesięć dni po podpisaniu traktatu pokojowego z Francją w 1802 roku Anglia szybko przystąpiła do rozbrojenia. Podczas gdy Bonaparte na dużą skalę kontynuował zbrojenia i uzupełniał puste doki, w Wielkiej Brytanii pozbyto się ochotników i zmniejszono o połowę stan liczebny armii. Lord St. Vincent użył swych rozległych wpływów, aby znacznie uszczuplić wydatki na utrzymanie administracji w marynarce. W ciągu kilku miesięcy zwolniono czterdzieści tysięcy marynarzy, a setki oficerów usunięto ze służby czynnej.

Po długiej wojnie okręty wymagały remontu, ale zaczęto zwalniać dokerów, zerwano kontrakty z prywatnymi przedsiębiorcami, a zapasy wyprzedano, w niektórych wypadkach nawet francuskim pośrednikom.

Optymizm trwał krótko, bo 18 maja 1803 roku Wielka Brytania znów została zmuszona do wypowiedzenia wojny Francji. Pragnął jej również Napoleon. Zanim flota była gotowa do walki, Anglikom udało się odzyskać połowę ziem, które utracili w wyniku zawartego traktatu pokojowego.

Przez stulecia admirałowie mieli przywilej zabierania na morze własnych służących; lokaja, szefa kuchni i pokojowca, których sami utrzymywali. Dopiero w 1914 roku Admiralicja zarządziła, aby służba ta została umundurowana i opłacana z kasy marynarki.

## Rozdział 1

Markiz Veryan obudził się z nieprzyjemnym uczuciem, że zaspał. Czuł pulsowanie w głowie i gorzką suchość w ustach. Zeszłej nocy za dużo wypił. W odróżnieniu od swoich rówieśników robił to rzadko. Wieczór jednak okazał się bardzo ciekawy, a on musiał dorównać przyjaciołom wznoszącym toasty na cześć jego licznych zwycięstw na wyścigach konnych. Na szczęście wino, które wybrał, okazało się wyborne. Teraz przyszło mu zapłacić za tę rozrywkę.

Spostrzegł, że pokój, w którym się znajduje, nie jest jego sypialnią. Usłyszawszy ciche chrapanie odwrócił głowę, co przyplącił kolejnym bólem, i zobaczył śpiącą obok Rose. Jej widok przywołał jakieś wspomnienia. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, co to było. Czy coś od niej usłyszał? Przyjrzał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że nie wygląda najlepiej. Zniknęła boska uroda, tak wychwalana poprzedniego wieczoru przez mężczyzn, tusz z rzęs spływał po policzkach, a karmin ponętnych zazwyczaj warg rozmazał się na brodzie. Znowu cicho zachrapała. Odwrócił głowę i zaczął się przyglądać marszczonym satynowym zasłonom nad łóżkiem. Nagle przypomniał sobie, co go podświadomie dręczyło. Wspomnienie tej rozmowy uderzyło go jak grom z jasnego nieba.

- Ożenisz się ze mną, najdroższy Justinie? - spytała go Rose, a on nie pamiętał, co odpowiedział. Pod wpływem wypitego alkoholu, upojony dodatkowo zdobyciem jej po niezbyt długich, ale wyteżonych staraniach, nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi.

Po śmierci męża Rose brylowała w towarzystwie skupionym wokół księcia Walii. Prestiż jej licznych kochanków wzrósł, gdy wreszcie zdobyła markiza. To było nie lada osiągnięcie, gdyż od jakiegoś czasu znany był jako protektor najszlachetniejszych i najdroższych utrzymanek. Po

kilku latach mniej lub bardziej wiernego związku ze słynącą z inteligencji lady Melbourne, przestał interesować się damami z towarzystwa. Uważał większość z nich za zbyt pretensjonalne i sztuczne. Wolał szczere i niefrasobliwe tancerzki z baletu lub kobiety w typie Harriet Wilson.

Lady Rose z determinacją użyła wszystkich swoich powabów, aby znieść markiza i podbić jego serce. Okazała się bardzo sprytna. Chociaż sporo go kosztowała, bawił się doskonale tym „polowaniem” i dobrze wiedział, jak ono się skończy. Może okazał się mało przewidujący, ale nie przypuszczał, że lady Rose pragnie wyjść za niego za małż. Nigdy nawet nie przyszło mu to do głowy. Wręcz przeciwnie, w jego przypadku małżeństwo nie wchodziło w rachubę. Czasem rozmawiał na ten temat ze starszymi krewnymi, kiedy zarzucali mu, że nie postarał się o dziedzica swych licznych posiadłości. Przypomniawszy sobie teraz z grozą, jak Rose szeptała mu kusząco do ucha:

- Ożenisz się ze mną, najdroższy Justinie?

Nadal nie pamiętał, co odpowiedział. Znowu spojrzał na nią. Czar przysłał i przestała sprawiać na nim jakiegokolwiek wrażenie. Już kilka razy w życiu doznał tak nagłej zmiany uczuć i wiedział, że zawsze przynosiła nieprzyjemne następstwa. Łzy, sceny złości, których nienawidził i które nigdy nie skłoniły go do zmiany zdania. - Lady Rose Caterham już mnie nie interesuje - pomyślał.

Jakby ktoś inny powtórzył te słowa głośno, nagle uprzytomnił sobie, że musi coś teraz począć. Bardzo ostrożnie wysliznął się z łóżka, wziął szlafrok z sąsiedniego krzesła i ukradkiem, skradając się cicho jak Indianin, poszedł po grubym dywanie w kierunku drzwi. Odwrócił się, by sprawdzić, czy przypadkiem nie obudził Rose. Ku jego uldze nawet się nie poruszyła. Znowu usłyszał lekkie chrapanie.

Bezgłośnie otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zamknął je równie cicho za sobą. Pospiesznie udał się do swego pokoju.

Idąc przez marmurowy hol ujrzał słońce przeświecające przez zasłony. Domyślił się, że jest około czwartej. Dyżurował tylko jeden zmęczony lokaj, siedzący na rzeźbionym wyściełanym krześle. Markiz wiedział, że służba wstanie o piątej, zacznie się wielkie czyszczenie i sprzątanie bałaganu po nocnym przyjęciu, w którym uczestniczył on i jego przyjaciele. Pozostawili po sobie nie dopite wino, potłuczone kieliszki, opróżnione karafki, wiaderka z rozpuszczonym lodem i porzucane miękkie poduszki. Gdzieś tam poniewierał się atlasowy pantofel, zapomniany brylantowy kolczyk albo wymięty krawat. Z trudem przypominał sobie, co się działo. Pewien był, że wczorajsze przyjęcie należało do najhuczniejszych, jakie kiedykolwiek zorganizował. Zaczynał żałować, że naruszył w ten sposób dostojeństwo rodzinnego domu.

Gdy doszedł do swego pokoju, ból głowy był już nie do zniesienia. Najbardziej potrzebował zimnej kąpieli. Po wejściu do sypialni nacisnął dzwonek wzywający służącego. Odsunął zasłony i stanął w oknie, spoglądając na jezioro i park pełen starych drzew, wokół których unosiła się poranna mgła. Choć na niebie pojawiły się już pierwsze promienie słońca, nadal świeciło na nim kilka gwiazd. Ten cichy, spokojny czas miał jakieś magiczne piękno.

Nagle przypomniał sobie o czymś znacznie ważniejszym - o Rose. Nadal nie był pewien co odpowiedział, gdy zapytała, czy się z nią ożeni. Czyżby był takim głupcem, by się na to zgodzić? Mówiła mu o tym, kiedy pożądanie płonęło w nim jak ogień. W takim stanie mężczyzna gotów jest powiedzieć wszystko. Podejrzywał, że specjalnie wybrała ten właśnie moment. Wiedziała, że podniecony jej urodą i wypitym winem zupełnie nie kontrolował tego, co mówi.

- Chyba nie okazałem się takim głupcem? A może jednak? - pytał wciąż sam siebie.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł służący.

- Pan dzwonił, milordzie? - spytał spokojnie lokaj, jakby nie było w tym nic niezwykłego, że został obudzony o tak wczesnej porze.

Był to szczupły niski mężczyzna służący u markiza od wielu lat. Traktował swego pana z podziwem, ale i opiekuńczą surowością starej niani.

- Przestań się tak o mnie niepokoić, Hawkins - mawiał często markiz. - Wiedział jednak, że służący dba tylko o jego dobro, więc przywiązany był do niego o wiele bardziej niż do reszty służby. - Przygotuj mi zimną kąpiel - powiedział.

- Domyśliłem się, że będzie pan sobie tego życzył - odpowiedział mężczyzna lakonicznie. - Przygotowałem ją w nocy. - Otworzył drzwi prowadzące do małego pomieszczenia, które w czasach ojca markiza używane było jako gotowalnia. Znajdowała się tam wielka wanna, do której wlewano mnóstwo gorącej wody przynoszonej w mosiężnych wiadrach przez silnych młodych lokajów. Teraz napęczniona była w trzech czwartych zimną wodą. Służący rozejrzał się po pomieszczeniu. Sprawdził, czy na krześle leży duży turecki ręcznik, czy mydło i ubranie znajdują się w zasięgu ręki, a ozdobiona herbem mata jest na swoim miejscu. - Wszystko gotowe, milordzie - rzekł.

Markiz zdjął z siebie ubranie, podał je Hawkinsowi i zanurzył się w wannie. Zimne kąpiele zazwyczaj brał wiosną i latem, dlatego nie były one dla jego organizmu szokiem, jakiemu mógłby ulec ktoś mniej zahartowany. Jego wysportowane szczupłe ciało ożywiało się pod wpływem zimnej wody. Po wyjściu z wanny poczuł się o wiele lepiej, choć nadal zastanawiał się, co odpowiedział lady Rose.

Nagle przypomniał sobie powiedzenie znajomego oficera z czasów służby wojskowej:

„Tylko głupiec nie decyduje się na odwrót przed przeważającymi siłami wroga. Taki czyn w pewnych okolicznościach to nie wyraz tchórzostwa, lecz zdrowego rozsądku”. - Muszę to zrobić - pomyślał markiz. - Uciec! Wycierając się do sucha, zawołał przez otwarte drzwi:

- Która godzina, Hawkins?

- Dochodzi piąta.

- Obudź sir Anthony'ego. Powiedz, że chcę z nim mówić.

- Dobrze, milordzie.

Kiedy służący wyszedł, markiz pomyślał, że lepiej by było, gdyby Anthony wrócił już do swego pokoju. Poprzedniej nocy oczarowały go wdzięki pewnej pięknej kobiety, której mąż nie został zaproszony na przyjęcie. Markiz nie zajmował się takimi szczegółami, ponieważ interesowały go tylko własne romanse. Pomyślał jednak, że lord Bicester, znany z wyciągania od swych przyjaciół pieniędzy na spłatę hazardowych długów, mógł posłużyć się swoją żoną, aby naciągnąć Anthony'ego na większą gotówkę. Zdarzyłoby się to nie po raz pierwszy. W ten sposób zdobywał pieniądze na następne gry, choć nigdy przy tym nie padło tak nieprzyjemne i brzydkie słowo jak szantaż. Markiz najpierw pomyślał, że Anthony powinien sam o siebie zadbać. Później jednak zreflektował się, że to on wydał przyjęcie i w pewnym sensie był odpowiedzialny za to, co się działo w jego domu. Teraz chciał tylko zapytać przyjaciela, co sądzi o jego planach.

Rzucił wilgotny ręcznik na podłogę i zaczął się ubierać w przygotowany wcześniej przez Hawkinsa kostium do konnej jazdy oraz lśniące buty z szerokim skórzanym pasem na górze, wylansowane przez znanego arbitra mody Brummela. Markiz nie chciał uchodzić za dandysa, a nawet, podobnie jak księżę Walii, uważał niektóre pomysły Brummela za nieco

spóźnione. Jednak jego sądy miały niewątpliwy wpływ na wygląd mężczyzn. Brummel uważał bowiem, że każdy dżentelmen powinien nosić nieskazitelnie czystą, zmienianą dwa razy dziennie bieliznę, surdut leżący bez najmniejszej zmarszczki i wysoko zawiązany krawat.

Markiz bardzo dbał o swój wygląd, lecz zdawał sobie sprawę, że wielu jego znajomych chodziło ubranych niechlujnie, a nawet bywali brudni, więc zmiany propagowane przez Brummela prowadziły ku lepszemu.

Nie zakładając jeszcze surduta czesał się przed lustrem, gdy do pokoju wszedł jego przyjaciel, Anthony Derville. Był to wysoki, bardzo przystojny mężczyzna, konkurujący urodą z markizem.

Razem robili duże wrażenie na kobietach, które oczarowane nimi mawiały:

- To nie w porządku wobec nas, że musimy wybierać pomiędzy równie rozkosznymi kaskami.

- Czemu do licha kazałeś mnie tak wcześnie obudzić? - spytał Anthony. - Dopiero co zasnąłem.

- A ja dopiero co się obudziłem - odparł markiz. Poczekał aż Hawkins zamknie za sobą drzwi i dokończył: - Wyjeżdżam stąd. Jedziesz ze mną?

- Wyjeżdżasz? Dlaczego?

Markiz przyciszonym głosem opowiedział mu, co się stało.

- Rose zaproponowała mi małżeństwo zeszłej nocy. Za nic nie mogę sobie przypomnieć, co jej odpowiedziałem.

- Wielkie nieba. Byłeś chyba bardziej pijany niż mi się wydawało.

- Zapytała mnie o to, kiedy nie byłem w stanie logicznie myśleć.

- Zawsze uważałem, że Rose potrafi być bardzo przebiegła, gdy chce dopiąć swego - jęknął przyjaciel.



- Nie mam zamiaru jej poślubić, jeśli o tym mówisz.

- A więc uciekasz?

- Wolałbym nazwać to taktycznym manewrem przed przeważającymi siłami wroga - odparł uśmiechając się markiz.

- W zasadzie masz rację. Nie czuję się na siłach, by stawić czoło kłopotom. Jeśli pamięta, co jej obiecałem zeszłej nocy, a jestem pewien, że pamięta, będzie wielka awantura, gdy wyznam, że nic sobie nie przypominam.

- Za to dobrze pamiętasz co robiłeś - zauważył drwiąco przyjaciel. - Mogłoby ci się przydarzyć coś gorszego niż poślubienie jej - dodał nie usłyszawszy odpowiedzi. - To piękna kobieta.

- Nie wczesnym rankiem.

- A więc o to chodzi! No cóż, lepiej było to sprawdzić przed ślubem.

- Nigdy do tego nie dojdzie - odparł ostro markiz. - Wiesz przecież, że nie mam ochoty się żenić. Jeśli już mam się związać z jakąś kobietą, na pewno nie będzie to Rose.

- Dobrze! Dobrze! Nie złość się.

- Jestem bardzo zły! Wiem, że zrobiłem z siebie głupca, ale z gorszych sytuacji wychodziłem bez szwanku.

Anthony odchylił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Pamiętasz jak musiałeś wisieć na rynnie, gdy niespodziewanie wrócił mąż twojej kochanki? Boże, jak się śmiałem, kiedy mi o tym opowiadałeś! Chociaż tobie na pewno nie chciało się wtedy śmiać.

- To prawda - odparł krótko markiz.

- A ta mała z Newmarket, jak jej było na imię?

- Do licha, Anthony, skończ te wspominki i idź się ubierać, bo pojedę sam.

- Nie zajmie mi to dużo czasu. Powiedz Hawkinsowi, by jeden z lokajów spakował moje rzeczy.

- Hawkins dopilnuje tego. Teraz każę podać śniadanie.

- Dla mnie brandy. I kawę, jeśli mam oprzytomnieć. -  
Podszedł z markizem do drzwi.

- Dokąd jedziemy?

- Jeszcze nie wiem. Pomyślę o tym podczas śniadania.

- No dobrze, tylko wybierz jakieś miejsce z wygodnymi  
łóżkami. Będzie mi jedno potrzebne, gdy tam dojedziemy.

Markiz nie odpowiedział, tylko zajął się wydawaniem  
służącemu odpowiednich poleceń.

- Zapakuj moje rzeczy, Hawkins. Każ, by ktoś  
przygotował bagaże sir Anthony'ego. Pojedziemy faetonem.  
Ty podążysz za nami kareta razem z Jemem.

- Dobrze, milordzie - odparł lokaj zupełnie nie  
zaniepokojony tą nagłą decyzją.

- Każ obudzić Bradleya. Chcę mu wyjaśnić, co ma zrobić,  
gdy wyjedziemy.

- Dobrze, milordzie. A gdzie jedziemy, jeśli wolno  
zapytać? Chcę wiedzieć, jakie mam zapakować ubrania.

Markiz uniósł rękę do głowy, jakby nadal czuł ból.

- Jeszcze nie zdecydowałem. Masz może jakieś  
propozycje?

- Myślałem sobie wczoraj, kiedy jaśnie pan wspomniał o  
tym niewiarygodnie gorącym sierpniu, że bardzo dobrze  
zrobiłoby mi letnie morskie powietrze, jakim teraz cieszy się  
jego książęca mość w Brighton.

- Masz rację, Hawkins, masz zupełną rację. Jedziemy do  
Heathcliffe.

- To dobry pomysł, milordzie. Nie byliśmy tam, o ile  
sobie przypominam, od czterech, a może nawet pięciu lat.

- Od pięciu. W tym czasie tylko raz wybrałem się tam na  
obiad dwa lata temu, kiedy bawiłem w Brighton. - Przerwał i  
powiedział cicho do siebie. - Heathcliffe to świetne miejsce na  
kryjówkę. - I dodał głośniejszym głosem: - Tam pojedziemy, ale nie mów o

tym nikomu. Nie chcę, żeby moi goście przyjechali za mną, myśląc błędnie, że potrzebuję ich towarzystwa.

- Rozumiem, milordzie. Sądzę jednak, że powinniśmy wysłać posłańca, żeby zdążyli przygotować dom na nasz przyjazd.

- Wszystkie moje domy mają być przygotowane na przyjęcie mnie, bez uprzedniego informowania.

- Oczywiście - powiedział Hawkins uspokajająco - ale jednak...

- No dobrze, zrób po swojemu. Widocznie uważasz, że nie przygotowują dla nas odpowiedniego posiłku, jeśli nie będą wiedzieć o naszym przyjeździe. Ale jeśli coś będzie nie w porządku, pamiętaj, że się zdenerwuję.

Hawkins bez słowa opuścił pokój, aby wypełnić polecenia. Markiz powoli zszedł na dół myśląc, że służbie w Heathcliffe dobrze zrobi obudzenie z letargu, w którym na pewno pograżyła się w czasie jego długiej nieobecności. W ciągu ostatniej doby już po raz drugi pomyślał o tym miejscu. Poprzedniej nocy jeden z jego gości, pozujący na dandysa Peregrine Percival, którego od dawna nie widział, poczęstował go tabaką, której markiz nie znosił.

- Nigdy tego nie używam - wyjaśnił.

- Ależ oczywiście! Zapomniałem! Lecz znam twój dobry gust i mam nadzieję, że docenisz tę kupioną kilka dni temu tabakierkę.

Po dokładnym obejrzeniu, markiz ocenił ją nie tylko jako bardzo cenną, ale wręcz unikalną. Jednak nie diamenty zwróciły jego szczególną uwagę, lecz emaliowany, ozdobiony klejnocikami środek tabakierki, na którym przedstawiono bitwę morską. Znajdowały się tam statki na wzburzonym morzu, z armat strzelano maleńkimi rubinami, a fale morskie inkrustowano szmaragdami.

- Jestem pewien, że widziałem podobną - powiedział wpatrując się w tabakierkę.

- Na pewno? - zaciekawiał się Peregrine Percival. - Kupiłem ją u pośrednika, ale nie chciał powiedzieć do kogo należy.

- Teraz sobie przypominam - wykrzyknął markiz. - Jest bardzo podobna do tej z moich zbiorów. - Zobaczywszy zdziwienie na twarzy rozmówcy wyjaśnił: - Mój ojciec zbierał wszystko, co związane było z morzem. Nasz dom położony jest na wybrzeżu. Podobna do tej tabakierka znajduje się w jego kolekcji, choć mogę się mylić.

- To interesujące! - odparł gość. - Musimy je kiedyś porównać.

- Tak, musimy to zrobić.

- Ciekaw jestem, czy wiąże się z nią jakaś historia. Sądzę, że ma około pięćdziesięciu albo nawet stu lat.

- Na pewno.

- Ciekawe byłoby prześledzić jej pochodzenie, zwłaszcza że teraz obaj jesteśmy tym zainteresowani.

Potem uwagę markiza zajęła Rose i zapomniał o wszystkim. Teraz przypomniał sobie tę rozmowę i postanowił po dotarciu do Heathcliffe poszukać tabakierki z bitwą morską. Musi też sprawdzić, czy ojciec zapisał coś na jej temat w swoim skrupulatnie prowadzonym katalogu. Nagle uświadomił sobie, jak przyjemnie może spędzić czas w tym domu. Prawie już zapomniał o swoim majątku znajdującym się na południowym wybrzeżu.

Poprzednie trzy sezony letnie spędzał na specjalne życzenie księcia Walii w Brighton. Jednak po trzech tygodniach powtarzających się jednakowych rozrywek i noc po nocy spotkań z tymi samymi ludźmi miał dość tej nudy. To samo powtórzyło się w tym roku. Wyjechał z Brighton pod koniec lipca do Veryan, gdzie przebywał do tej pory.

Miał się czym zająć na swoich dziesięciu tysiącach akrów ziemi w Kent. Był dumny z posiadania tego modelowego majątku, który robił wrażenie na wszystkich, łącznie z księciem Walii. Czas wypełniały mu przyjęcia i trenowanie koni, które przygotowywał do wyścigów w najbliższych latach.

Nic dziwnego, że nie miał czasu zajrzeć do Heathcliffe ani do innych majątków w Kornwalii i na północy wyspy. Zadowalał się otrzymywaniem od swoich pełnomocników wyczerpujących raportów na ich temat. Heathcliffe był jednym z jego najmniejszych majątków, o powierzchni mniej niż pięć tysięcy akrów, z czego większość nie objęto uprawami. Jego ojciec spędził tam ostatnie lata życia, ponieważ lekarze uważali, że najlepiej zrobi mu słońce południowej Anglii. Lepszy efekt dałyby może podróże zagraniczne, ale najpierw wybuchła rewolucja we Francji, a później z powodu Bonapartego ojciec został w kraju. Markiz wspominał swoją miłość do Heathcliffe, w młodości radość z morskich kąpiei i swobodę, jakiej nie czuł w innych posiadłościach ojca.

- Będę tam tylko z Anthonym. Tego nam właśnie potrzeba. Wzdrygnął się na wspomnienie szminki rozmazanej na twarzy Rose i tuszu spływającego po jej policzkach.

Na długo zanim obudzili się pierwsi goście, wyruszyli obaj w faetonie przygotowanym do długiej podróży.

Niebiesko - złote barwy rodzinnego herbu nadawały pojazdowi elegancki wygląd, a wspaniałe, świetnie dobrane konie przyciągały wzrok i stanowiły dumę ich właściciela.

- Błagam, byle nie za szybko - ostrzegał Anthony. - Czuję, że moja głowa rozpada się na kawałki.

- Powinieneś bardziej na siebie uważać.

- Mógłbym to samo poradzić tobie - zripostował Anthony.  
- Jak sądzisz, co powiedzą twoi goście, kiedy zobaczą, że zniknąłeś?

- Niewiele mnie to obchodzi. Powiedziałem Bradleyowi, aby wyjaśnił, że odwołano mnie nagle z powodu rodzinnych obowiązków, a ty okazałeś się tak miły, by mi towarzyszyć. Uważam, że wyświadczyłem ci przysługę, uwalniając od towarzystwa Lucy Bicester.

- Też zaczynam tak myśleć - przyznał Anthony. - Wczoraj mógł się nagle pojawić Bicester albo za kilka godzin wyciągnęłaby ode mnie kwotę, na którą nie byłoby mnie stać.  
- Zapadła cisza. Pojazd minął bramy posiadłości. - Zdaje się, że mieliśmy szczęście w tej ucieczce. Dla nas obu mogło się to skończyć katastrofalnie.

- Jeśli rzeczywiście udało nam się uciec - powiedział cicho markiz.

- Ciekawe, co zrobi Rose, sądząc, że przyrzekłeś jej małżeństwo.

- Nie mam pojęcia i nie chcę o tym myśleć. Nikt nie wie, gdzie się udaliśmy, jej również nie uda się nas odnaleźć.

- Na pewno będzie czekała na ciebie w Londynie.

- Do licha, nie pogarszaj sytuacji. Jak mogłem okazać się taki naiwny, by się nie domyślić, że chodzi jej o ślub. Przecież nie byłem jej pierwszym kochankiem. Dlaczego więc uparła się wyjść za mnie?

- Doprawdy, Justinie, zachowujesz się jak zaskoczona panienska. Oczywiście, że wolała ciebie od Leicestera, który jest bez grosza, lub Selbirna, który musi jeszcze z dziesięć lat poczekać, by odziedziczyć tytuł po ojcu - odpowiedział ze śmiechem Anthony.

- Dość dużo o niej wiesz.

- Widziałem jak cię usidlała. Miałem wrażenie, że uda jej się to w końcu.

- Dlaczego więc nie raczyłeś mnie ostrzec?

- Ostrzec? - wykrzyknął przyjaciel. - Czy kiedykolwiek pozwoliłeś mi na to? Zawsze ci się wydaje, że wszystko wiesz najlepiej, a poza tym zrobiłbyś mi awanturę, gdybym tylko próbował komentować twoje romanse.

Była to prawda, więc markiz nic nie odpowiedział, tylko zajął się powożeniem końmi. Znalazł pocieszenie w ich idealnych ruchach i łatwiejszym prowadzeniu niż innych zaprzęgów, z którymi miał dotychczas do czynienia.

- W przyszłości poświęcę się tylko koniom. Anthony wybuchnął śmiechem.

- Dopóki nie wpadniesz w oko kolejnej piękności. Kłopot w tym, Justinie, że jesteś zbyt przystojny, bogaty i niezależny.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że kobiety zawsze będą za tobą szalały, ponieważ nawet nie usiłujesz ich zdobywać.

- Przecież nie muszę tego robić.

- I właśnie o to chodzi. Kobiety powinny czuć się celem, ostateczną zdobyczą, to właśnie czyni zabiegi o nie tak zajmującymi.

- Trzeba to było wyjaśnić Rose lub swojej przyjaciółce Lucy.

- Przestańmy sobie dokuczać i zacznijmy rozmawiać rozsądnie - westchnął Anthony.

- Co nam to da?

- Przygotuje nas na przyszłość - odrzekł Anthony. - Lucy dała mi lekcję, ty też masz nauczkę od Rose. Okazalibyśmy się głupcami nie wyciągając z tego korzyści.

- No dobrze, słucham cię. Jaki jest z tego wniosek?

- Wniosek jest taki, że wszystko, co przychodzi z łatwością, nie jest warte zabiegów. Prawda?

- Chyba tak.

- Przyznaj, że znamy tylko kobiety łatwe do zdobycia, które szybciej ulegają tobie niż mnie, ponieważ możesz im więcej zaoferować. Nie ma kobiety, która nie chciałaby zostać markizą Veryan. - Jego towarzysz odpowiedział skrzywieniem warg, jakby nadal obawiał się, iż mógłby zostać wplątany w ślub z Rose Caterham, czego zupełnie sobie nie życzył. - Anthony ciągnął dalej: - Piękno to nie wszystko. Wiemy o tym obaj, że żaden z nas nie chciałby żony, która flirtuje z każdym napotkanym mężczyzną i nie interesuje się niczym poza balami.

- Dalej Anthony, mówisz całkiem do rzeczy. Zawsze tak uważałem, ale nie potrafiłem tego wyrazić słowami.

- Mój ojciec zwykł mawiać, że każdy mężczyzna powinien pewne rzeczy przemyśleć, a my staraliśmy się tego nie robić i popełniliśmy kilka niewybaczalnych głupstw.

- Nie będziemy teraz o tym mówić - powiedział pospiesznie markiz, mając na myśli kilka spraw, o których najchętniej by zapomniał.

- Dobrze, ale znasz teraz moje zdanie. Mam nadzieję, że okażemy się bardziej rozsądni w przyszłości, jeśli rozważymy, czego dokonaliśmy wcześniej.

- To zupełnie bez sensu - powiedział markiz krytycznie. - Ale domyślam się, o co ci chodzi. Problem w tym, że obracamy się w zamkniętym kręgu i nie wykorzystujemy w pełni naszego umysłu, jak to robiliśmy w Oksfordzie.

- A więc zgadzamy się - rzekł Anthony, widząc, że został zrozumiany.

Markiz roześmiał się.

- Oczywiście. Nikt jednak nie wie, jaką przyszłość szykują nam niebiosy. Mam nieprzyjemne uczucie, że niedługo miejsce Rose i Lucy zajmą dwie podobne kobiety.

Anthony uniósł rękę.



- Do licha, Justinie. Wylewasz na mnie kubek zimnej wody. A gdzie twoja potrzeba przygody, twój optymizm, wiara w szczęśliwą gwiazdę? - rzekł kpiąco.

- Cicho! - odparł markiz. - Teraz ty działasz na mnie przygnębiająco. Jestem pewien, że jedyna przygoda, jaka może nas spotkać w czasie tej podróży, to wypadek lub złamane koło.

Obydwaj mężczyźni spędzili dużo czasu przy obiedzie w gospodzie pod „Latającym lisem” i o wiele później, niż się tego spodziewali, znaleźli się na wybrzeżu. Jak zawsze, gdy spędzali wspólnie czas, bawili się rozmową, stroili żarty i przypominali zdarzenia mające miejsce w czasie długich lat ich przyjaźni.

Byli w świetnej formie fizycznej, ból głowy dawno markizowi minął, i dopisywał im wyśmienity humor. Kiedy ponownie udawali się w drogę, do powozu zaprzężono doskonale arabskie konie, których nie musieli wymieniać. Markiz wiedział, że jeśli będą jechać wolniej przez ostatnie mile, bez kłopotu dojadą do celu.

- Teraz, po podpisaniu traktatu pokojowego, znów mogę trzymać konie na drodze do Dover - powiedział.

- Myślałem, że już to zrobiłeś.

- Nie miałem zamiaru udawać się do Francji. Uważam, że po skończonej wojnie należy poczekać aż sytuacja w kraju się unormuje, wtedy udam się w podróż.

- Istnieją ludzie, którzy chwalą sobie uroki Paryża. Kilku znajomych opowiadało mi, że duże wrażenie zrobiło na nich przyjęcie, z jakim się spotkali we Francji już od momentu przybycia do Calais. Mówiono mi też, że Francuzki są po prostu wyjątkowe.

- Pojedziemy tam w przyszłym miesiącu - obiecał markiz.

- Rzeczywiście Percival opowiadał, że w Palais Royal kobiety

chodzą w draperiach na grecką modłę i skrapiają włosy wonnymi olejkami.

Anthony roześmiał się.

- Będziemy więc musieli odwiedzić to miejsce. Chciałbym też zobaczyć pierwszego Konsula. Nie może być takim potworem, jakim go zazwyczaj przedstawiają.

- Mam nadzieję, że nie jest tak sprytny, jak się wydaje.

- Co masz na myśli?

- Podejrzewam, że gdy my korzystamy z przyjemności życia w pokoju, zapominając o starych żalach, Bonaparte rozbudowuje swoją armię i flotę.

- Nonsens. Jest gotów, tak jak my, zapomnieć o tym co było.

- Mam nadzieję, że masz rację. Przekonamy się, gdy znajdziemy się we Francji. W przyszłym miesiącu w Paryżu nie będzie tak gorąco jak teraz.

Pograżyli się w rozmowie na inne tematy i wkrótce przed nimi ukazały się wyżyny kredowe Downs. Podróż miała się ku końcowi.

- Od lat nie zaglądałem do Heathcliffe - powiedział Anthony. - Pamiętam, że kiedy bywaliśmy tu w dzieciństwie, twój ojciec był bardzo zły o coś na waszego sąsiada.

- Admirał, wróg mojego ojca. Wojna między tymi dwoma starcami powodowała żywsze krążenie krwi w ich żyłach, a wściekłość odmładzała im serca. Potem mój ojciec zmarł.

- O co poszło?

- Zapomniałem już, nawet jeśli kiedyś wiedziałem. Kiedy ojciec kupił Heathcliffe, okazało się, że w samym środku posiadłości, ledwo milę od domu, znajduje się mały dworek i dziesięć akrów należących do emerytowanego admirała. Jak on się nazywał? - Wadebridge! Tak, właśnie tak. Admirał Horatio Wadebridge. Zachowywał się jakby nadal stał na

mostku kapitańskim. Mój ojciec denerwował się za każdym razem, gdy o nim pomyślał.

- O co tak walczyli?

- O wszystko. Przede wszystkim o to, że admirał odmówił ojcu sprzedaży domu i posiadłości. Nie było powodu, dla którego miałyby to zrobić, ale mój ojciec chciał mieć Naboth Vineyard i robił wszystko, by ją dostać. Niestety, bez powodzenia.

- Co się stało z admirałem?

- Chyba umarł, jak mój ojciec. Byli mniej więcej w tym samym wieku.

- A kto teraz jest właścicielem Naboth Vineyard, jak ją nazwałś?

- Admirał miał syna, pewnie posiadłość należy teraz do niego. Jest dużo starszy ode mnie. Może żyje, czekając na kłótnię ze mną gdy tam pojedę, by zażyć morskiego powietrza dla zdrowia.

- Będzie musiał jeszcze trochę poczekać. A może przyjdzie mu ochota na sprzedaż?

- Możliwe. Na pewno zdecydowałbym się na kupno.

- Nie masz jeszcze dosyć?

- Nie uważam, żeby można było mieć za dużo ziemi. Popatrz na Cecilów, którzy przez całe wieki dodawali coś do swych posiadłości. Chyba powinienem zrobić to samo dla moich następców.

- Wielkie nieba! Ty i takie plany! Może więc mimo wszystko ożenisz się i zapewnisz Veryanom kontynuację rodu, który rośnie w siłę już od czasów Karola II.

- Karola I - poprawił go markiz. - Mam bardzo dużo krewnych.

- Ale chciałbyś, żeby twoim następcą został twój syn.

- Oczywiście, lecz nie ma powodu do pośpiechu i na pewno jego matką nie będzie Rose. - Powiedział to z taką

zawziętością że sam zaczął się z tego śmiać, wtórując Anthony'emu. - Przed nami Heathcliffe. Tam, między drzewami - wskazał końcem bata.

Anthony przypomniał sobie długi niski dom, rozbudowany przez ojca przyjaciela przy pomocy najwspanialszych architektów. Budynek był świetnie usytuowany, pośród widocznych tuż za nim wzgórz, i z trzech stron otoczony drzewami chroniącymi przed morskimi wiatrami. Wyglądał bardzo majestatycznie. Już od godziny czuli morskie powietrze i świeżość, jakiej nie zaznali od początku podróży. Nawet konie nieco przyspieszyły, jakby czując zbliżający się cel, gdzie czekała na nie wygodna stajnia. Wjechali na podjazd. Patrząc na dom z czerwonej, nieco wyblakłej cegły, Anthony powiedział:

- Już zapomniałem, jakie to piękne miejsce. Powinieneś częściej tu przyjeżdżać.

- Właśnie o tym samym pomyślałem. Nie wiem, dlaczego tak długo z tym zwlekałem.

- To bardzo romantyczny zakątek - rzekł Anthony. - Popatrz na kwiaty. Ich widok po prostu zapiera dech w piersiach.

- Mój ojciec wydawał dużo pieniędzy na ogród. Bałem się, że w czasie wojny z powodu braku rąk do pracy może zostać zaniedbany, ale widzę, że moje obawy okazały się bezpodstawne.

Kiedy podjechali bliżej, wieczorne słońce na powitanie zamigotało w szybach ciepłym blaskiem. Zatrzymali się przed frontowymi drzwiami. Dwaj stajenni zajęli się końmi, a przed nimi pojawił się starszy siwowłosy mężczyzna.

- Witaj, Markham - powiedział markiz.

- Dzień dobry, milordzie. Witamy w domu. To wielka przyjemność gościć pana znowu.

- Sądzę, że pamiętasz Anthony'ego Dervilla z czasów naszego dzieciństwa?

- Powiedziano nam, że będzie panu towarzyszył. To wielki zaszczyt gościć go również.

Markham, który był od ponad trzydziestu lat zarządcą majątku w Heathcliffe, wprowadził ich do holu udekorowanego kwiatami.

- Widzę, że się mnie spodziewaliście.

- Cieszę się, że jaśnie pan uprzedził nas o swoim przyjeździe. Mieliśmy kilka godzin na przygotowania. Oczywiście wszystko jest zawsze w pogotowiu, ale przynajmniej ogrodnicy mieli czas na zebranie kwiatów, a służący pod nadzorem pani Kingdom mogli dokładnie wywietrzyć pościel.

Markiz uśmiechnął się, lecz nic nie odpowiedział. Weszli do długiego niskiego pomieszczenia z widokiem na ogród. To w tym pokoju jego ojciec przesiadywał wieczorami. Markizowi wydawało się, że zaraz wstanie z wygodnego fotela i podejdzie do nich. Rozejrzał się po pokoju z satysfakcją. Wszystkie obrazy na ścianach były o tematyce marynistycznej i bardzo pasowały do miejsca, w którym znajdował się dom. Nic nie zmieniło się od czasów, kiedy przyjeżdżał tu jako mały chłopiec.

- Spodziewałem się, że jaśnie pan zechce wziąć kąpiel przed obiadem. Już ją przygotowano na górze. Jest tam człowiek, który wszystkiego dopilnuje, zanim przyjedzie pański lokaj.

- Hawkins przybędzie tu niedługo. My zasiedzieliśmy się trochę przy jedzeniu w trakcie postoju, a powóz, którym jedzie Hawkins, na pewno nie jest taki prędko jak faeton.

W jego głosie można było wyczuć dumę, więc Markham poczuł się w obowiązku zareagować:

- Kiedy jaśnie pan podjeżdżał, pomyślałem, że nigdy nie widziałem wspanialszego zaprzęgu.

- Ja również - zgodził się markiz obracając się do przyjaciela. - Sądzę, że też zechcesz odświeżyć się po podróży.

- Oczywiście. Chciałbym się również czegoś napić.

- Chłodzi się butelka szampana. Chyba że wolą panowie czerwone wino.

- Wolę szampana - powiedział Anthony. - Mam nadzieję, że po podpisaniu traktatu pokojowego łatwiej jest go dostać.

- Nie sądzą, żeby ludzie z sąsiedztwa mieli w czasie wojny jakiegokolwiek kłopoty z kupnem wina - powiedział kpiąco markiz. - Czy tu również, Markham, działali przemytnicy, jak na całym wybrzeżu?

- Było ich bardzo mało, milordzie. Większe i bardziej niebezpieczne gangi działały koło Romney Marshes.

- Wiele o nich słyszałem. Z ulgą dowiaduję się, że was nie niepokoiłi. Mówiono mi, że terroryzowali lokalną ludność.

- Mieliśmy dużo szczęścia - powiedział zarządca.

Skinął na znajdującego się w pokoju lokaja, który pośpiesznie zaczął otwierać butelkę szampana. Był to dobrze zbudowany mężczyzna w wieku niewiele ponad dwadzieścia lat. Miał na sobie fatalnie leżącą liberię i markiz miał wrażenie, że czuł się w niej nie najlepiej. Kiedy lokaj zaczął napełniać kieliszki, zauważył na jego nadgarstku tatuaż.

- Służyliście w marynarce?

- Tak, milordzie.

- Sądzę, że dopiero niedawno zostaliście odprawieni.

- Tak, milordzie.

- To ciekawe. Wydawało mi się, że zastanę w domu tylko kilkoro służących.

Lokaj pośpiesznie spojrział w kierunku Markhama, który wyjaśnił: - Obawiam się, że część służby, którą jaśnie pan

pamięta, została wysłana na wojnę lub odeszła ze względu na podeszły wiek. Niedawno udało nam się przyjąć na ich miejsce młodszych chłopców, takich jak Billy.

- Mieliśmy szczęście. Mam nadzieję, Billy, że ci się u nas podoba.

- Bardzo, milordzie.

Markiz miał właśnie coś powiedzieć, gdy Anthony uniósł kieliszek.

- Twoje zdrowie, Justinie! To wielka przyjemność znów znaleźć się w Heathcliffe.

- Dziękuję. Markham, musi pan napić się razem z nami. Powrót do domu to okazja do świętowania.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony. Markizowi wydało się, że usłyszał w jego głosie ulgę.

Zaczął się zastanawiać, co to mogło znaczyć, ale po wypiciu szampana zapomniał o wszystkim.

## Rozdział 2

Markiz ubrany był wieczorowo. Wyglądał tak elegancko, jakby udawał się na przyjęcie w Carlton House. Schodząc po dębowych schodach, wyczuwał zapach wosku i lawendy. Pomyślał, że to zupełna odmiana po egzotycznych perfumach, którymi pachniały kobiety na przyjęciu ostatniej nocy. Był w dobrym humorze. Miał zamiar pójść do salonu, gdy przyszło mu na myśl, aby najpierw zajrzeć do biblioteki, która kiedyś stanowiła prawdziwe sanktuarium ojca. Tam znajdowały się zbierane przez niego skarby. Wspaniałe obrazy zgromadzone w Veryan i rodzowym domu w Londynie zostały odziedziczone po dziadku markiza, który był znanym miłośnikiem sztuki. Poświęcał jej wiele czasu i pieniędzy, kolekcjonując wybitne dzieła. Jego zbiory miały opinię najlepszych w całym kraju. Znał się również na meblach. Wspaniałe okazy z czasów królowej Anny wzbogacił o nowe nabytki.

Ojcu markiza trudno było powiększyć odziedziczone dobra, ale miał doskonały gust i pieniądze pozwalające na folgowanie zachciankom. Mieszkając w Heathcliffe poświęcił się zbieraniu zabytkowych przedmiotów związanych z morzem.

Bibliotekę zapełniały cenne zbiory i pierwsze edycje książek, które koneserzy, a na pewno Muzeum Morskie, chętnie widzieliby w swoich zbiorach. W całym domu wisały obrazy słynnych mistrzów marynistycznych. Jeden z przyjaciół ojca mówił nawet, że prędzej dostaje choroby morskiej w Heathcliffe niż na jakimkolwiek statku.

W bibliotece znajdowała się również kolekcja tabakierek. Wszystkie miały coś wspólnego z morzem. Markiz przypomniał sobie o tabakierce Peregrina Percivala. Zdziwił się, że mogły istnieć dwie tak do siebie podobne, ponieważ rzemieślnicy zazwyczaj wykonywali dla swych klientów przedmioty unikalne. Wiedział jednak, że rzeczy bardzo



kosztowne, na przykład wazy greckie, zyskiwały na wartości, gdy istniały inne podobne egzemplarze.

Bibliotekę również udekorowano na jego przyjazd świeżymi kwiatami. Ich aromat mieszał się z delikatnym zapachem kurzu i starej skóry. Markiz podszedł do okna, by wywietrzyć pokój. Zauważył, że wszystkie rzeczy ojca stały na biurku dokładnie tak, jak je zapamiętał; bibularz ze złożonymi rogami z herbem Veryanów, wielki kałamarz wykonany przez jednego z najlepszych złotników za czasów Karola II, przybory do otwierania listów zdobione drogocennymi kamieniami, szkło powiększające, podstawka pod pióro, pieczęć i inne ulubione drobiazgi ojca, którymi zachwycał się w dzieciństwie.

Patrząc na nie uśmiechnął się. Odruchowo spojrzął na stojący w drugiej części pokoju duży francuski sekretarzyk. W nim ojciec trzymał swoje drogocenne skarby.

- Zaraz sprawdzę, czym tabakierka Peregrina Percivala różni się od naszej.

Gdy podszedł do szafki ze zdumieniem zobaczył, że jest w niej znacznie mniej okazów niż się spodziewał. - Czyżby zawiodła mnie pamięć? - pomyślał. Był pewien, że dawniej znajdowało się tu tyle tabakierek, iż ledwo starczało na nie miejsca. Teraz na błękitnym aksamicie wyścielającym sekretarzyk było ich zaledwie dwanaście. Ułożono je tak, jakby ktoś rozmyślnie chciał zapełnić puste miejsca. Zastanowił się. Czy na pewno nie mylił się sądząc, że kolekcja ojca była o wiele większa? Może resztę przeniesiono do innego pomieszczenia, na przykład do salonu? Spojrzął na część zbioru, którą miał przed sobą. Większość tabakierek była bardzo charakterystyczna. Kilka przyozdobiono drogocennymi kamieniami, ale wśród nich nie było tabakierki z wizerunkiem statku pod pełnymi żaglami na szmaragdowym morzu, którą pokazał mu Peregrine Percival. W końcu doszedł

do wniosku, że Markham schował najcenniejsze okazy do sejfu. Na pewno tam się teraz znajdowały. Odetchnął z ulgą, ponieważ zaczął się obawiać, że stracił bardzo wartościowe pamiątki po ojcu. Jutro - pomyślał - pomówię o tym z Markhamem. Miał wiele spraw do omówienia z zarządcą majątku, dotyczących samego domu, jak i całej posiadłości. Wyszedł z biblioteki, aby w salonie poczekać na swojego przyjaciela.

Noc była bardzo gorąca. Przez francuskie okna wychodzące na taras widać było ogród pełen róż. Poczuł delikatną bryzę od morza. Pomyślał, że zbyt długo przebywał z dala od tego miejsca. Obiecał sobie, że w następnym roku spędzi tutaj kilka tygodni. Wkrótce przyłączył się do niego Anthony.

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, dlaczego nie przyjeżdżałeś tutaj, Justinie. - Markiz spojrział na niego ze zdziwieniem. - Pomyślałem, że to idealne miejsce na miesiąc miodowy - ciągnął dalej jego gość.

- Jeśli masz zamiar rozprawiać cały czas o małżeństwie, dostaniesz ode mnie lanie. Przyjechaliśmy tu przecież, by utrzymać nasz kawalerski stan. Wypijmy za to.

W tej samej chwili lokaje wnieśli do salonu tacę z kryształowymi kieliszkami i butelką szampana. Markiz spojrział na jednego z nich i stwierdził:

- Ty nie jesteś Bateman.

- Nie, milordzie. Nazywam się Travers.

- A co się stało z Batemanem?

- Przeszedł na emeryturę. Zdaje się, że zamieszkał we wsi.

- Nie wiedziałem, że był w podeszłym wieku. Mam nadzieję, że poradzisz sobie z obowiązkami i będzie ci się tu podobać.

- Dziękuję, milordzie. Będę się starał, aby był pan ze mnie zadowolony.

Markizowi spodobały się słowa i żołnierska postawa służącego. Nagle coś sobie przypomniał.

- Gdzie pracowałeś, zanim Markham cię zatrudnił?

- Służyłem na statku.

Markiz nic nie odpowiedział, spojrział tylko na mężczyznę, myśląc, że zarządca dokonał dobrego wyboru. Po podpisaniu traktatu pokojowego wielu marynarzy będzie szukało pracy. Dotychczas obowiązywała zasada, że w jego majątkach służba pochodziła z rodzin pracujących od wielu lat dla niego, jego ojca lub nawet dziadka. Kredensowi reprezentowali piątą generację pracowników, a dziewczęta, gdy tylko podrosły, wiedziały, że zostaną oddane do „dużego domu”. Uważał, że to się nigdy nie zmieni. Próbował sobie przypomnieć jak duża jest wioska położona o półtorej mili od majątku. Niestety nie potrafił podać tej odległości nawet w przybliżeniu.

- Jesteś bardzo milczący, Justinie - zauważył Anthony.

- Zamyśliłem się.

- Ja jestem tak zmęczony, że potrafię myśleć tylko o wygodnym łóżku.

- Masz szczęście, że nie musisz teraz zabawiać Lucy.

- Mogę się założyć, że Bicester zjawi się u ciebie wieczorem mówiąc, iż zmienił zdanie i przyjmuje twoje zaproszenie.

- Jeśli nawet tak zrobi, zostanie pusty dom. Możesz być pewien, że Bicester popędzi do Londynu, aby nabrać kogoś innego.

- Wyobrażam sobie, jak wszyscy byli rozczarowani. Myśleli pewnie, że zostaną tam co najmniej jeszcze tydzień.

- Jeśli o mnie chodzi, uważam, że przyjęcia trwają stanowczo za długo. Przez kilka pierwszych wieczorów

konwersacja wydaje się dowcipna i zabawna, ale potem wszystko się powtarza, nawet wino traci smak.

- Jesteś zepsuty, tak to z tobą jest.

- Nonsens. Jesteśmy obydwaj za inteligentni na utrzymywanie stosunków z tymi ludźmi.

- Chciałbym zobaczyć ich miny, gdyby to usłyszeli - zaśmiał się Anthony.

- Nie mam teraz ochoty widzieć kogokolwiek z nich - powiedział z rozdrażnieniem markiz.

Lokaj oznajmił, że podano do stołu. Przeszli do drugiego pokoju. Przez otwarte okna, zajmujące niemal całą ścianę, widać było chowające się za drzewa słońce.

- Szkoda, że nie umiem tego namalować - powiedział markiz.

- Van de Velde robi to wspaniale. Widziałem jego dwa nadzwyczajne płótna nad schodami.

- Przedstawiają morze, dlatego ojciec je kupił.

Usiedli przy stole oświetlonym blaskiem czterech świec zatkniętych w złote lichtarze. Pośrodku stał złoty statek, na który Anthony patrzył z nie ukrywanym podziwem.

- Domyślam się, dlaczego twój ojciec kolekcjonował wszystko, co było związane z morzem. Nie rozumiem tylko, dlaczego się tym nie interesowałeś i nie zabrałeś tego do Veryan albo do Londynu.

- Nigdy o tym nie pomyślałem. Te rzeczy należą do Heathcliffe, a ja lubię, jak wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Przypomniał sobie o tabakierkach, ale postanowił, że pokaże je przyjacielowi, gdy cała kolekcja będzie na swoim miejscu.

Obiad był wyśmienity, świeża morska ryba i kuropatwy, może nieco twarde, ale najpewniej zastrzelone przez służbę tuż przed ich przyjazdem. Za to wieprzowina okazała się

krucha i wyborna. Anthony, który wszystkiego sobie dokładał, wykrzyknął, kiedy na stole pojawiły się owoce:

- Wyśmienity obiad. Wydawało mi się, że jestem zbyt zmęczony, aby jeść, ale teraz czuję się o wiele lepiej.

- To przez morskie powietrze. Poczekaj do jutra. Będziesz gotów zjeść wołu.

- Potrzeba nam trochę ruchu.

- Popływamy w morzu i pojeździmy konno. Nakazałem Bradleyowi przysłać tuzin wierzchowców.

- Cóż za gest!

- Nie chcę, żebyś się zanudził.

- Zrobiłbyś na mnie większe wrażenie, gdybym był pewien, że myślałeś tylko o mnie.

- Uważam, że na wsi każdy powinien robić to, na co ma ochotę. Mam taki właśnie zamiar, gdy będziemy się tu ukrywać.

- Ukrywać? A więc przyznajesz się do tego?

- Oczywiście. Nie wrócę do Londynu, dopóki nie będę pewien, że nie czekają na mnie żadne burze.

- Mam przecucie, że dużo czasu upłynie, zanim to się skończy. Wiedząc jak szybko się nudzisz, obawiam się, że spokój i cisza wiejskiego życia, gdzie nic się nie dzieje, prędko ci zbrzydną.

- Na pewno cię o tym poinformuję. Jedno jest pewne, ta brandy będzie stanowić dla nas pociechę.

Anthony upił łyk z kieliszka, który postawił przed nim lokaj.

- Masz rację, jest wyśmienita.

- Długo leżała w piwnicy albo niedawno przekroczyła kanał pod nosem straży przybrzeżnej.

- Przemytnicy. Jeśli cię znudzi tutejsze życie, możemy się do nich przyłączyć.

- Nie ma sensu bawić się w przemytników, gdy wojna się skończyła. Chyba że w ten sposób chciałbyś się rozruszać.

- Cóż, to prawda. Wydaje mi się, że w czasie pokoju mamy mniej rozrywek, wyjąwszy oczywiście kobiety.

- A ty znów o tym samym! Nie mam ochoty myśleć o płci pięknej ani o przemytnikach. Chcę cieszyć się urokami życia w pokoju.

- Wypijmy za to. Oby twój zachwyty cnotliwym życiem trwał jak najdłużej.

- Kłopot z tobą polega na tym, że jesteś takim cynikiem.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Ty jesteś nim, odkąd tylko pamiętam. Jeśli długo wytrwasz w tym dobrotliwym nastroju, będę mocno zdziwiony.

Lokaj postawił tacę z portwajnem i brandy, następnie wyszedł razem z drugim służącym. Markiz skrzywił się na odgłos nagłego brzęku, który rozległ się na zewnątrz. Podczas obiadu zauważył, że cała obsługa spadła na lokaja, podczas gdy jego pomocnicy poruszali się dość niezdarnie. Liberia nie leżała na nich jak należy i markiz postanowił, że o tym również porozmawia następnego dnia z Markhamem.

Słońce było już tylko złotym kręgiem skrywającym się za horyzontem. Rozlegało się krakanie gawronów układających się do snu na jednym z wielkich wiązów. Markizowi wydawało się nawet, że słyszy pisk nietoperzy. Usiadł wygodnie w fotelu i poczuł się pogodzony z całym światem. Nagle za oknami usłyszeli kroki i niski głos:

- Panowie, proszę się nie ruszać.

Markiz spojrział zaskoczony. Stojący we francuskim oknie mężczyzna trzymał w obu rękach pistolety. Zamiast maski na twarzy miał kaptur, co nadawało mu zupełnie niezwykły wygląd. W kapturze wycięto otwory na usta, nos i oczy. Poza tym intruz ubrany był zwyczajnie w dopasowany żakiet,

spodnie ze skóry kozłowej i wysokie buty. Dostrzegli nawet biały, kunsztownie zawiązany krawat.

- Co do diabła... - zaczął markiz podnosząc się, ale mężczyzna powtórzył;

- Proszę zostać na miejscu, mój panie. Chyba że chce pan dostać kulkę w ramię.

Mówił cicho i powoli, ale w jego głosie wyczuwało się zdecydowanie o wiele groźniejsze od pistoletu. Patrząc na przybysza jak zahipnotyzowany, markiz usłyszał, że drzwi otwierają się i kiedy odwrócił głowę, zobaczył jeszcze jednego zakapturzonego mężczyznę wchodzącego do pokoju. W rękach trzymał czarną ciężką torbę. Podeszedł do stołu. Jego ubranie różniło się od tego, które nosił człowiek stojący w oknie. Wyglądał na służącego.

- Spokojnie, panowie - powiedział stojący w oknie osobnik. - Proszę wyłożyć na stół wszystkie pieniądze, jakie macie przy sobie. Biżuterię również.

Markiz zaczął się zastanawiać, czy obydwaj z Anthonym daliby radę rzezimieszkom. Gdy nad tym rozmyślał, przez drzwi prowadzące z pokojów służby wszedł trzeci osobnik z torbą w ręce. Przeklinając własną bezsilność markiz wyjął z kieszeni portfel z pieniędzmi. Jego przyjaciel uczynił to samo.

- Pański pierścień i spinka do krawata - rozkazał mężczyzna w oknie. Potem skierował pistolet w stronę markiza: - Wydaje mi się, że ma pan przy sobie zegarek.

Markiz zeszywniał, chciał zaprotestować, ale widok pistoletu skierowanego w jego stronę z odległości mniej więcej dziesięciu stóp przekonał go jakim głupstwem byłoby podjęcie ryzyka obrony. Zegarek należał kiedyś do jego ojca. Nosił go na łańcuszku przytroczonym do niego wielkim szmaragdem.

Rzadko nosił łańcuszek, nigdy w ciągu dnia, gdyż podobnie jak Brummel, uważał noszenie biżuterii za zbyt

ostentacyjne. Włożył go wieczorem tylko przez sentyment. Teraz był wściekły na siebie, że to zrobił. Mężczyzna stojący koło niego wziął zegarek, pieniądze i rzeczy Anthony'ego i czekał na dalsze instrukcje.

- Statek na stole! - usłyszeli znów niski głos. - Tylko uważaj. Wygląda bardzo delikatnie, szkoda by go było uszkodzić.

Widać, że sobie żartował. Markiz poczuł jak opanowuje go furia, zacisnął pięści, jego ciało było napięte, miał ochotę rzucić się na złodzieja. Jakby domyślając się tego, mężczyzna powiedział:

- Nie radziłbym robić żadnych głupstw. Ręka na temblaku może bardzo utrudniać życie.

Znów w jego głosie zabrzmiała złośliwa nuta.

- Do licha - powiedział sprowokowany markiz. - Dopilnuję żebyś zawisł na szubienicy. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz w moim życiu.

- Wątpię - odpowiedział chłodno złodziej. - Cóż, może się pan tym zająć zamiast wyścigów lub asystowania pięknym damom.

- Nie mam ochoty wysłuchiwać tych impertynencji.

Rozbójnik zachichotał, ciesząc się, że dokuczył markizowi. Pistoletem trzymanym w prawej ręce skinął na dwóch mężczyzn, by wyszli przez drzwi do ogrodu. Usłyszeli jak biegną. Rozbójnik poczekał, aby upewnić się, że są bezpieczni i powiedział:

- Radzę, abyście panowie zostali na miejscach jeszcze przez dwie minuty. Jeśli macie zamiar mnie gonić, uprzedzam, że jestem dobrym strzelcem.

Cofnął się w kierunku francuskiego okna, nadal trzymając pistolety wymierzone w obu mężczyzn. Nagle zniknął im z oczu. Markiz odepchnąwszy krzesło podbiegł do drzwi, ale w



ogrodzie panowała już cisza. Tylko z daleka dobiegł tętent galopujących koni.

- Dobry Boże! Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął Anthony. - W całym moim życiu nie byłem bardziej zaskoczony.

Markiz nadal nasłuchiwał obserwując ogród. Po chwili powiedział:

- Wydaje mi się, że nie ma sensu nawet próbować ich gonić.

- Na pewno! Zanim osiodłamy konie, oni odjadą już jakieś dwie lub trzy mile. - Gdy wrócili do stołu, markiz nalał sobie brandy i podał karafkę przyjacielowi. - Czy przeżyłeś kiedyś coś równie niezwykłego?

- To było od dawna zaplanowane.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zauważyłeś, że ci dwaj, którzy zbierali łupy, nawet się nie zawahali? Dobrze wiedzieli, co robić i tylko czekali na rozkaz.

- Jak, do licha, dowiedzieli się, że tu jesteśmy? Przecież przyjechaliśmy nie zapowiedziani. Chyba że mieli zamiar i tak to zrobić.

- To możliwe. Ale dlaczego akurat dzisiaj wieczór? - Spojrzał na miejsce, na którym stał złoty statek i dodał: - Ciekawe, co jeszcze zabrali.

- Musimy sprawdzić. Tylko pocieszę się twoją brandy. Nie jestem przyzwyczajony, by rozbójnicy przychodzili akurat wtedy, gdy jem obiad.

- Zupełnie nie przypominali tych, z którymi miałem dotychczas do czynienia - rzekł markiz. - Dlaczego nosili kaptury? Zazwyczaj używają chusteczek albo masek.

- To prawda. Pamiętasz tego, który chciał nas obrabować w Hampstead Common? Postrzeliłeś go w nogę. Nadal mam go przed oczami, jak ucieka wrzeszcząc wniebogłosy.

- Nie sądziłem, że we własnej jadalni powinienem siedzieć uzbrojony - powiedział z furją markiz. - Markham powinien nas uprzedzić, że w sąsiedztwie są jacyś rabusie.

- Nie sądzę, aby się spodziewał, że spotka nas coś takiego w czasie pierwszego dnia pobytu. - Anthony dotknął miejsca, w którym przedtem znajdowała się szpilka do krawata, i dodał gniewnie: - Żałuję, że odstąpiłem od zasady, żeby nie nosić biżuterii. Prawdę powiedziawszy, to po kilku nieudanych próbach zawiązania krawata, spałem go szpilką.

- Najbardziej żal mi zegarka ojca i łańcuszka.

- Nawet nie wiemy dokładnie, co wzięli.

Markiz wydał z siebie dźwięk przypominający szloch.

- Mogę się założyć, że tabakierki. Oglądałem je przed obiadem i doszedłem do wniosku, że są zbyt cenne, aby je tak po prostu zostawiać. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie zabrali tych, które znajdowały się w sejfie.

Mówiąc to, przypomniał sobie trzeciego mężczyznę wchodzącego przez drzwi od kuchni. Zerwał się z fotela i przeszedłszy przez pokój, udał się do sąsiadującej z jadalnią spiżarni. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby się upewnić, że jego najgorsze przypuszczenia się sprawdziły. Drzwi olbrzymiego, zajmującego prawie całą ścianę spiżarni sejfu były otwarte. Zawsze podczas obiadu zabierano stąd na stół złote i srebrne ozdoby, które ponownie chowano po posiłku.

Otworzył szerzej drzwi, by przyjrzeć się pozostałym na półkach przedmiotom. Stały tam czajniczki do herbaty, dzbanki do kawy, złote kandelabry używane w czasie wielkich bankietów i stopy srebrnych talerzy przeznaczonych na specjalne przyjęcia. Trudno było zorientować się, czy tabakierki znajdowały się tutaj. Tylko Markham mógł stwierdzić czego brakuje.

Nadal pałając bezsilnym gniewem, bez słowa opuścił spiżarnię i poszedł korytarzem w kierunku holu. Potem w

towarzystwie Anthony'ego podążył do biblioteki. Chociaż zapadł już zmierzch, świec nie zapalono, ale w słabym świetle dochodzącym od okna można było zauważyć, że sekretarzyk został otwarty. Zanim zajrzał do środka, domyślał się co tam zobaczy.

- Do licha! - powiedział z wściekłością. - Zabrali wszystkie tabakierki mojego ojca.

- Tak mi przykro, Justinie - powiedział Anthony.

- Powinniśmy coś zrobić, powinniśmy ich powstrzymać.

- Też tak myślałem, ale szczerze mówiąc nie podobał mi się widok ich pistoletów. Na pewno ich herszt okazałby się świetnym strzelcem.

Markiz z trudem powstrzymywał się, żeby nie przeklinać złodziei, używając wyrażeń, których nauczył się w armii. Jednak z godnością postanowił nie zniżyć się do ich poziomu.

- Wydaje mi się, że ich przywódca był dżentelmenem - rzekł Anthony. - A przynajmniej tak się wysławiał.

- Mówił charakterystycznym niskim głosem, na pewno bym go rozpoznał - dodał markiz.

- Ja również. Nie był zbyt wysoki, ale szczupły i wysportowany, widać to było po jego ruchach. I dobrze ubrany.

- Do licha, taki opis pasuje do setek mężczyzn. Jediną wyróżniającą go cechą był ten szczególnie głęboki ton głosu.

- Pomyślałem o czymś jeszcze - zauważył Anthony.

- O czym?

- Musiał znać rozkład domu. Podczas gdy jeden z jego ludzi kradł w bibliotece tabakierki, drugi musiał pójść do spiżarni zaraz po tym, jak służba udała się na kolację. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam.

Markiz pokiwał głową.

- W Veryan służba je wtedy, kiedy my kończymy swój posiłek. Wiem, że szef kuchni zawsze zostawia im jedzenie z naszego stołu.

- To tylko potwierdza moje przypuszczenia. Wiedzieli, że nikogo nie będzie w spiżarni i zabrali tabakierki w tym czasie, kiedy ich szef zaatakował nas przez drzwi do ogrodu, wiedząc, że będą otwarte.

- Pewno masz rację - zgodził się po namyśle markiz. - Powiem ci coś jeszcze.

- Co takiego?

- Kiedy ruszali, ich konie wyglądały na wypoczęte. Znam tętent konia, który długo biegł, zawsze brzmi trochę ciężko. Założę się, że ich konie przybyły z bliska.

- To zawęźa pole naszych poszukiwań - powiedział Anthony i ziewnął. - Zbójnicy nie zbójnicy, nie zabrali mojego łóżka, więc będę mógł się przynajmniej wyspać.

- Ja też to zrobię. Nie ma potrzeby budzić teraz służących. Rozmowy i dociekania będą ciągnęły się godzinami, a nie sądzę, by Markham powiedział nam coś więcej.

- Dość mam na dzisiaj - ziewnął znów Anthony. - Na miłość boską zostawmy to do jutra.

- Dobrze. Ja również jestem zmęczony. Jednak gdy podczas przebierania się do snu opowiedział Hawkinsowi, co się stało, długo potem nie mógł zasnąć.

Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu posłał po swego zarządcę. Markham został już poinformowany przez służbę o tym, co zdarzyło się poprzedniej nocy.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział starszy pan załamując ręce. - Ojciec jego lordowskiej mości był bardzo przywiązany do złotego statku i swoich tabakierek.

- To dla mnie ciężka strata. Może wiesz, gdzie złodzieje mogli ukryć się w okolicy?

- Nie, milordzie. Mieszkamy w Heathcliffe na uboczu. Jesteśmy, jakby to powiedzieć, samowystarczalni.

- Kim są nasi najbliżsi sąsiedzi?

- Nie ma ich wielu. Pułkownik Lloyd, może go pan pamięta, zmarł w zeszłym roku, jego dom stoi teraz pusty. Lord Moorland, przyjaciel ojca jaśnie pana, leży złożony chorobą już od roku.

- Nie ma tutaj takich domów jak mój, gdzie mogliby spodziewać się dobrych łupów?

- Nie, milordzie.

Markiz pomyślał chwilę i zapytał:

- A admirał?

- Chodzi o admirała Wadebridge'a?

- Oczywiście.

- Nie żyje już prawie od sześciu lat.

- Tak myślałem. A jego syn?

- Jaśnie pan nie słyszał, że zginął w czasie bitwy na Nilu?

- Nie miałem o tym pojęcia. Chociaż był naszym odwiecznym wrogiem, biorąc pod uwagę nienawiść pomiędzy moim ojcem a admirałem, bardzo mi przykro z powodu jego śmierci.

- To był dobry człowiek. Marynarka straciła w jego osobie wielkiego kapitana.

Markiz spojrział na swego zarządcę.

- Znałeś go?

Przez moment Markham milczał, jakby pożałował ciepłych słów na temat kapitana. Potem powiedział z wahaniem:

- Tak, jaśnie panie. Znałem kapitana Wadebridge'a. Trudno byłoby go nie znać mieszkając tutaj.

Markiz uśmiechnął się.

- Rozumiem, Markham, musisz czuć się tutaj bardzo samotny. Masz chyba jakąś rodzinę?

- Jaśnie pan zapomniał, że nie jestem żonaty.  
- Przepraszam, umknęło to z mej pamięci. Zamyśliwszy się nad związkami z Flagstaff

House, przypomniał sobie jak admirał zmienił nazwę swego dworku, aby zdenerwować jego ojca.

Markham znów zawahał się mówiąc:

- Syn kapitana Wadebridge'a również służy w marynarce. Wydaje mi się, że teraz przebywa w Indiach.

- Pamiętam, że była też jakaś dziewczyna - powiedział markiz marszcząc brwi.

- Tak, milordzie. Panienska Ivana.

- Nigdy nie spotykałem tamtejszych dzieci. Musiała być dużo ode mnie młodsza. Wyobrażam sobie, że teraz jest dorosła.

- Jaśnie pan ma rację. Czy mam zawiadomić sędziego o tym co zaszło?

Wyglądało jakby Markham celowo próbował zmienić temat i nie chciał już odpowiadać na pytania.

- Co panna Wadebridge teraz porabia? - spytał markiz. - Pewnie mieszka tam zupełnie sama, chyba że żyje jeszcze jej matka.

- Pani Wadebridge zmarła wiele lat temu.

- W takim razie, kto jeszcze mieszka w majątku?

- Naprawdę nie wiem. Znałem wprawdzie kapitana Wadebridge'a, ale oba nasze domy nie utrzymywały ze sobą kontaktów - powiedział Markham.

Coś dziwnego działo się z tą rodziną, zawsze tak było. W dawnych czasach wystarczyło, że wspomniał ich nazwisko, by ojciec zaczynał krzyczeć o niegodziwościach, których dopuścił się jego sąsiad. To samo działo się na pewno w domu admirała. Następne pokolenie było zbyt rozsądne, aby kontynuować tę wojnę, która sprawiała, że krew żywiej

pulsowała w sercach dwóch starców i dodawała im chęci do życia.

- Ciekawe, czy rozbójnicy, którzy nas obrabowali zeszłej nocy, napadli również pannę Wadebridge - powiedział z namysłem markiz. - Na pewno by ją wystraszyli. Jeśli my nie daliśmy sobie z nimi rady, ona byłaby jeszcze bardziej bezsilna.

- Nie sędzę, milordzie, żeby w Flagstaff House znaleźli coś, co by ich interesowało.

- Dlaczego tak myślisz?

- To oczywiste. Wiedzieli czego szukają.

- Musieli również wiedzieć, że połowa tabakierki została przeniesiona z biblioteki do sejfu. - Markham nic nie odpowiedział, ale markiz zauważył jak mężczyzna zesztywniał. - Miałem zamiar porozmawiać z tobą dzisiaj na ten temat, ale rozumiem, że chciałeś je schować w bezpiecznym miejscu i wyjąłeś z sejfu tylko kilka na mój przyjazd. Czy tak?

- Tak, milordzie - odparł Markham z wyraźną ulgą w głosie.

Markiz pomyślał, że zarządca obawiał się reprimendy za niezamknięcie tak drogocennych przedmiotów po udaniu się służby na posiłek. - To bardzo sumienny człowiek - pomyślał. Poruszyło go, że Markham martwił się przedmiotami, które przez tyle lat pozostawały pod jego opieką.

- Oczywiście popytam, milordzie, czy ktoś widział tych rabusiów. Wydaje mi się jednak, że nie usłyszymy o nich więcej.

Markiz nie zaprzeczył. Nagle zdecydował, co chce zrobić.

- Każ stajennym przygotować dwa konie - powiedział wstając z krzesła. - Wybieram się z sir Anthonym na przejażdżkę. Kiedy zrobi się cieplej popływamy w morzu, jak za moich młodszych lat.

- Mam nadzieję, że jaśnie pan będzie się dobrze bawił. Zaraz przekażę rozkazy do stajni. Podeszedł do drzwi, ale odwrócił się jeszcze mówiąc:

- Jest mi bardzo przykro, milordzie, że ten niefortunny wypadek zdarzył się podczas pierwszego dnia pańskiego pobytu.

- Dziękuję, Markham. - Kiedy zostali sami, odwrócił się do przyjaciela: - Wybieramy się w odkrywczą podróż.

- W jakim celu?

- Aby odkryć prawdę dotyczącą kilku rzeczy, które mnie intrygują.

- Chcesz zabawić się w tropiciela?

- Właśnie taki mam zamiar. To bardzo podniecające.



### Rozdział 3

Obydwaj przeszli do holu, gdzie przy schodach czekał na nich Markham. Markiz wziął z rak lokaja cylinder.

- Tak przy okazji. Jak ma na imię młody Wadebridge, który odziedziczył posiadłość?

- Charles, milordzie - odparł po chwili zmienionym głosem Markham. - A dlaczego pan pyta?

- Uważam, że powinienem coś wiedzieć o moich sąsiadach - odparł markiz wychodząc przed dom, gdzie czekały już konie.

- Czyżbyśmy wybierali się do Naboth Vineyard? - spytał Anthony. - Chętnie obejrzę sobie to miejsce.

- Ja również. Odkąd pamiętam była to dla mnie zakazana ziemia.

Wsiedli na konie i ruszyli w drogę.

- Uważam, że najpierw powinniśmy rozruszać trochę konie - zaproponował Anthony. - Pościgajmy się przez park.

- Zgoda.

Wcisnąwszy mocniej kapelusze na głowy, ruszyli pędem, aż spod kopyt posypał się żwir. Po przejechaniu mili popuścili cugle.

- Do licha, Justinie - wykrzyknął Anthony. - Nadal nie rozumiem, dlaczego twoje konie są zawsze lepsze od moich. Mógłbyś mi sprzedać tego, na którym jadę?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, że nie odsprzedaję swoich wierzchowców.

- No cóż, spytałem nie mając zbytnej nadziei. Pokłusowali znów aż do lasu. Markiz odwrócił się w drugą stronę.

- A teraz jedziemy z wizytą. Ciekaw jestem, jakie nas czeka powitanie.

- W tych stronach dziwnie szybko burzy się krew w ludziach. Widziałem twarz twojego zarządcy, kiedy się dowiedział, dokąd jedziemy. Istne studium strachu.

- Biedny, stary Markham! - roześmiał się markiz. - Pamięta jeszcze, jak strasznie mój ojciec nienawidził admirała. Wydaje mi się, że służba bardzo często identyfikuje się z sympatiami i antypatiami swych panów.

Po chwili ich oczom ukazał się mur okalający dom admirała. Bez trudu odnaleźli bramę, obok której na wysokim maszcie powiewała flaga.

- Nie dziwię się, że to irytowało twego ojca - roześmiał się Anthony.

- Nawet jeśli tego nie widział, wiedział o jej istnieniu.

Markiz odwrócił się i zobaczył w oddali mężczyznę jadącego na koniu. Pomyślał, że to mógł być sąsiad, o który m zapomniał mu powiedzieć Markham. Podjazd kończył się przed starym dworem z czasów elżbietańskich i rozciągającym się za nim ogrodem. Budynek prezentował się wspaniale, lecz większe wrażenie zrobił na nich zadbane ogród. Małe kwietniki i ścieżki obłożono pomalowanymi na biało kamieniami pochodzącymi prawdopodobnie z plaży. Wszystko wyglądało tak schludnie i czysto, że skojarzyło im się z porządkiem panującym na okręcie. Po chwili pojawił się jakiś człowiek, aby odebrać od nich konie. Wystarczyło jedno spojrzenie i markiz zorientował się, że mężczyzna służył w marynarce.

- Dzień dobry. Czy panna Wadebridge jest w domu?

- Tak mi się widzi, panie - odpowiedział mężczyzna z obcym akcentem.

Markiz podszedł do drzwi i zastukał. Otworzyła starsza pokojówka, zgięta w uniżonym ukłonie.

- Przyjechaliśmy do panny Wadebridge.

- Z przyjemnością panów przyjmie. Proszę za mną.

Idąc za nią, markiz pomyślał, że w szarej skromnej sukni bardziej wygląda na nianię niż służącą; przypominała mu opiekunkę z lat dziecięcych. Hol okazał się mały, ale ciekawie ozdobiony i lśniący czystością. Staruszka otworzyła jedne z drzwi i oznajmiła:

- Markiz Veryan i jego przyjaciel, proszę pani.

Pokój, do którego weszli, sprawiał wrażenie bardzo przytulnego, a miłą domową atmosferę nadawały mu okna z wykuszami i wazon z kwiatami obok ładnego kominka. Z krzesła stojącego przy kominku wstała kobieta. Gdy szła w ich stronę pomyślał, że wnuczka admirała wyrosła na czarującą istotę. Miała ciemne włosy, co go zdziwiło, ponieważ uważał, że ludzie mieszkający nad morzem są jasnowłosi. Natomiast jej niebieskie oczy o ciemnych rzęsach przywiodły mu na myśl irlandzkie pochodzenie. Dziewczyna była szczupłą, miała na sobie niemodną suknię z układaną spódnicą i chusteczką, jakiej nie noszono już od końca ubiegłego wieku. Okiem znawcy ocenił, że jak na dziewczynę wychowaną na wsi, była wyjątkowo piękna. Gdy spojrzała na niego, zdał sobie sprawę, że się go boi. Choć może nieśmiała i nienawykła do męskich wizyt, przywitała go spokojnym, pewnym głosem.

- Witam pana.

- Dzień dobry. Czy mogę przedstawić mojego przyjaciela? Sir Anthony Derville.

Skłoniła się znowu, a Anthony z uśmiechem, który większość kobiet uznałaby za czarujący, powiedział:

- Dawno nie widziałem tak wspaniałego domu, pani Wadebndge. Rozumiem, dlaczego pani dziadek nie chciał go utracić.

- Domyślam się, że opowiadano panu o wojnie jaka istniała między naszymi rodzinami - odparła z uśmiechem.

- Powinna więc być pani zaskoczona widząc mnie tutaj - rzekł markiz.

- Pańska wizyta jest dla mnie miłą niespodzianką, milordzie. Zechcą panowie spocząć? Wskazała na sofę stojącą z drugiej strony kominka. - Czy napiją się panowie czegoś?

- Nie, dziękuję - odparł markiz. - Chcieliśmy obaj przyjechać do pani tak szybko, jak to możliwe, aby upewnić się, czy nie stała się pani ostatniej nocy ofiarą napadu rabusiów.

- Rabusiów? - spytała zaskoczona.

- Przyjechaliśmy do Heathcliffe niespodziewanie wczoraj wieczorem. Nikt nie wiedział wcześniej o naszym przyjeździe.

- Pani Wadebridge słuchała uważnie, patrząc na niego błękitnymi oczami. - Podczas obiadu wszedł do mojej jadalni rozbójnik ubrany nie w maskę, lecz w kaptur. Potem dołączyli do niego dwaj inni, podobnie zamaskowani - ciągnął markiz.

Kobieta załamała ręce.

- Jak to się stało?

- Otwarte było francuskie okno. Ich herszt wszedł od strony ogrodu, a dwaj pozostali byli już w domu.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- To niestety prawda. Odeszli zabierając ze sobą kilka rzadko spotykanych skarbów, między innymi unikalną kolekcję tabakierek, która należała do mojego ojca.

- To straszne! To musiało być okropne przeżycie.

- Zwłaszcza że nic nie mogliśmy zrobić, obydwaj byliśmy nie uzbrojeni. Głupotą z naszej strony byłoby rzucać się na trzech uzbrojonych mężczyzn.

- Rozumiem, jak panowie musieliście się czuć. Czy daliście już znać sędziemu?

- Jeszcze nie - odparł markiz. - Pomyślałem, że najpierw dowiem się, kto z sąsiadów widział jeszcze tę grupę rzezimieszków. Ale pani mówi, że tutaj wszystko w porządku.

- To prawda. Wdzięczna jestem, że mnie ostrzeżliście. Mieszkam tu tylko z moją nianią byłobyśmy zdane zupełnie na ich łaskę.

- Słyszałem, że pani brat przebywa na morzu, ale nie mówiono mi, że pani wyszła za mąż.

Pani Wadebridge spuściła wzrok. Na jej twarzy pojawił się rumieniec.

- Mój mąż również jest marynarzem.

- Czy jego nazwisko brzmi tak samo jak pani nazwisko rodowe?

- To mój daleki kuzyn, a nazwisko jest dość popularne, znane w kręgach marynarki. Bez wątpienia słyszał pan o tym.

- Chciałbym złożyć pani kondolencje z powodu śmierci ojca - rzekł markiz. - Bitwa na Nilu to wielkie zwycięstwo.

- To prawda - przyznała. - Admirał Nelson jest wspaniałym strategiem.

Zapadła cisza.

- Mam nadzieję, pani Wadebridge, że po tylu latach, kiedy mieliśmy przyjemność wreszcie się spotkać, będziemy utrzymywać zwykłe przyjacielskie stosunki, tak jak powinni to robić dobrzy sąsiedzi.

- Ja też mam taką nadzieję. Czy na długo przyjechał pan do Heathcliffe?

Był może zbyt podejrzliwy, ale miał wrażenie, że bardzo zależało jej na otrzymaniu odpowiedzi. Zwlekał trochę, widząc jak wpatruje się w niego pytająco, jakby to miało dla niej szczególne znaczenie.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - odparł w końcu. - Przyjechaliśmy tutaj odpocząć w ciszy i spokoju.

- Nie sądzę, żeby jeszcze niepokoiłi pana jacyś zbójnicy.

- Mam taką nadzieję. - Znów zapadła cisza. Domyślił się, że oczekuje końca wizyty. - Czy mógłbym obejrzeć pani ogród i, jeśli to możliwe, resztę domu? Przyznaję, że jestem

bardzo ciekawy, przez tyle lat nie wolno mi było przekraczać progu tego domostwa.

Pani Wadebridge roześmiała się.

- Mnie również nie wolno było odwiedzać Heathcliffe. Nie wyobraża pan sobie, jakie to było okropne oglądać z daleka państwa majątek, widywać wspaniałe konie i eleganckie powozy jadące drogą, wyobrażać sobie przyjęcia, na które nigdy nie byłam zapraszana.

- Rozumiem, że to panią gniewało - powiedział z uśmiechem markiz.

- Ponieważ jestem kobietą, czułam się bardziej nieszczęśliwa niż rozgniewana.

- Jeśli nigdy nie widziała pani Heathcliffe, jego właściciel będzie mógł go pani teraz pokazać - wtrącił Anthony.

Markiz dostrzegł podziw, z jakim przyjaciel spoglądał na gospodynię. Widać było, że uznał ją za wyjątkowo piękną kobietę.

- Oczywiście będę zachwycony pokazując pani Heathcliffe - powiedział z radością. - Nawet jeśli brakuje w jego zbiorach tabakierok mojego ojca.

- Zostało wiele innych rzeczy wartych obejrzenia - rzekł Anthony. - Zwłaszcza obrazy. Spojrzał na przyjaciela i dodał z namysłem: - Może zaprosimy panią na jutrzejszy obiad? Tak się składa, że nie mamy tutaj zbyt wielu zajęć.

- Tak, oczywiście - zgodził się markiz. - Czy odpowiada pani jutro wieczorem? - Przez chwilę rozważała zaproszenie. Zdziwił go jej brak chęci i ociąganie się z odpowiedzią, ale uznał to za skutek starej animozji, z którą należałoby jak najszybciej skończyć. - Powiedział głośno: - Jeśli przyjmie pani moje zaproszenie, będzie to oznaczało, że już na zawsze zakopaliśmy topór wojenny.

Czy mogłaby pani przyjechać jutro? Przyślę po pa - nią powóz o wpół do ósmej.

- To ładnie z pańskiej strony. Z przyjemnością zjem obiad w Heathcliffe.

Zauważył, że nie powiedziała „z panami”, ale widać nie miało to dla niej żadnego pewno nie miała też ochoty po tylu latach identyfikować się z dziecinną niechęcią dwóch starszych panów.

- Z przyjemnością pokażę pani mój dom - powiedział wstając. - Czy moglibyśmy teraz obejrzeć dworek?

Wydało mu się, że się zawahała.

- Doprawdy nie ma tutaj nic ciekawego - powiedziała idąc przodem.

Obydwaj mężczyźni wyszli za nią do holu. Pokazała im jadalnię ze starymi dębowymi meblami wypolerowanymi tak dokładnie, że mosiężne gałki odbijały wszystko jak lustro. Potem zaprowadziła ich do gabinetu, gdzie nad kominkiem wisiał portret jej dziadka w mundurze admirała. Poniżej obrazu, w szklanej szkatule, znajdowały się jego odznaczenia. Z portretu spoglądał na nich starszy brodaty człowiek, który życie poświęcił obronie ojczyzny.

- Niesamowite podobieństwo - powiedział markiz. - Kiedy zobaczy pani wizerunek mojego dziadka, zrozumie pani, jaką stanowili dobraną parę.

- Pani zupełnie nie jest do niego podobna - zwrócił się do niej Anthony.

- Mówiono mi, że bardziej przypominam mamę - wyjaśniła. - Pochodziła z Irlandii.

- Byłem tego pewien - wykrzyknął Anthony. - Błękitne oczy i ciemna cera. To bardzo irlandzkie zestawienie.

- Tak słyszałam - roześmiała się. - Nigdy jednak nie byłam na zielonej wyspie.

Chciała wyjść z gabinetu, ale markiz podszedł do okna, aby obejrzeć zaplecze budynku. Ku swemu zdziwieniu nie ujrzał tam ogrodu, lecz podwórze z olbrzymią starą stodołą.

- To dziwne zestawienie z tym domem - rzekł, - Stodoła na dziesięcinę.

- Rozumiem, iż nie orientuje się pan, że zanim pański dziadek kupił Heathcliffe, większość majątku należała do Wadebridge'ów - uśmiechnęła się gospodyni.

- Nie miałem pojęcia - wykrzyknął markiz.

- Rodzina Wadebridge'ów, która zamieszkiwała te tereny od kilku wieków, była bogata i miała duże znaczenie - wyjaśniła. - Ale przez te wszystkie lata zainwestowali sporo pieniędzy w morskie podróże i stopniowo musieli wyprzedawać swoje posiadłości na wybrzeżu.

- Teraz rozumiem, skąd ta nienawiść do Veryanów. Czy mógłbym bliżej przyjrzeć się tej stodole?

Pani Wadebridge znów zawahała się, odniósł wrażenie, że chciałaby już pozbyć się ich towarzystwa. Postanowił nie spieszyć się.

- Niestety, nie mogę panów zaprosić do środka, gdyż wszystko jest pozamykane. Ale możemy obejrzeć ją z zewnątrz.

Z niechęcią wskazała im drzwi z drugiej strony gabinetu, które prowadziły wprost na podwórze. Z tej strony stodoła zdawała się górować nad domem. Okazała się bardzo stara, zbudowana z małych wąskich cegieł pochodzących co najmniej z czasów elżbietańskich.

Po obejrzeniu stodoły markiz zwrócił uwagę na resztę podwórka. Z jednej strony zgromadzono białe kamienie, takie same jak te, którymi obramowano kwietniki w ogrodzie przed domem. Tutaj ułożono z nich różne symbole marynarskie; naturalnej wielkości kotwicę, banderę brytyjską i zarysy statku.

- Widzę, że interesuje się pani sprawami morskimi - zauważył markiz.



- To zostało wykonane wiele lat temu przez mojego brata i jego przyjaciół - powiedziała odwracając się w kierunku domu, jakby chciała już wrócić do środka.

- Spójrzcie! - wykrzyknął nagle Anthony. - Co to takiego? - spytał wskazując na lipę stojącą na krańcu podwórza.

Markiz spojrział w tym kierunku i ze zdziwieniem zobaczył wśród liści coś błyszczącego jaskrawo. Przez chwilę zastanawiał się, co to może być.

- Czyżby to była papuga?

- Tak, to papuga.

- Jest ich tam więcej - powiedział Anthony. - Czy są oswojone?

Zadowolona z jego zaskoczenia pani Wadebridge podeszła do drzewa i rozkładając szeroko ręce wydała kilka dźwięków imitujących ptasi świergot. Z drzewa zerwały się i przyfrunęły do niej małe śliczne papużki. Ich karmazynowo - zielone upierzenie dziwnie wyglądało w angielskim słońcu. Ptaki obsiadły jej ręce, ramiona i barki. Ubrana w zieloną suknię przedstawiała niecodzienny widok, gdy odrzuciwszy głowę do tyłu, spoglądała na krążące wokół niej ptaki. Obydwaj mężczyźni patrzyli z zachwytem na ten obrazek. Uwolniwszy wreszcie ręce, pani Wadebridge powiedziała:

- Jeszcze nie pora karmienia. Musicie poczekać.

Papużki pofrunęły z powrotem na drzewo.

- Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył - powiedział markiz.

- Ja również - zgodził się jego przyjaciel. - Muszą być tu bardzo długo, skoro reagują na pani głos.

- Po prostu wiedzą, że je kocham - odparła.

Zaczęła iść w kierunku domu. Pożegnała się z nimi w holu.

- Oczekuję pani jutro wieczór - uprzejmie przypomniał markiz. - Jest mi lżej na sercu, że nie była pani niepokojona przez tych rozbójników. Radzę jednak zamykać drzwi.

- Zrobię to - przyrzekła.

Podeszła do drzwi i poczekała aż dosiądą koni. Kiedy odjeżdżali, markiz znów przyjrzał się schludnym kwietnikom.

- Dużo pracy musi kosztować utrzymanie ich w tak doskonałym stanie - pomyślał - i w tej chwili zauważył pomiędzy grządkami dziwny przedmiot.

Przez moment zastanawiał się, co to może być, gdy nagle uświadomił sobie, że jest to drewniana proteza nogi. Leżała na trawie, jakby porzucono ją w wielkim pośpiechu. Nic nie powiedział przyjacielowi o tym odkryciu i wyjechali za bramę.

- Wielkie nieba - wykrzyknął Anthony. - Kto by pomyślał, że w tym dzikim zakątku Sussex można znaleźć coś równie uroczonego i wyjątkowego. Nigdy nie widziałem takich oczu! Nie rozumiem, dlaczego nie zaprosiłeś jej na obiad dzisiaj. Musimy czekać aż do jutra.

- Do licha, Anthony! Przecież wiesz, że jest mężatką. Dopiero niedawno uwolniłeś się od Lucy Bicester. Nie rób znów z siebie głupca - powiedział markiz tak agresywnie, że przyjaciel spojrzał na niego zaskoczony.

- Doprawdy, Justinie, nie psuj mi zabawy, nigdy tego nie robiłeś. Nie mamy żadnych obowiązków, z wyjątkiem zamartwiania się o rozbójników, których nigdy prawdopodobnie nie znajdziemy. Spotykamy piękną dziewczynę, a ty mówisz „trzymaj ręce z daleka”, tylko dlatego że ma męża. - Kiedy markiz nic nie odpowiedział, ciągnął dalej. - Co się z tobą dzieje? Nigdy nie zaprzątałeś sobie głowy mężami, chyba że zaczynali mierzyć do ciebie z pistoletu.

Markiz nie odpowiadając popędził konia, tak że wierzchowiec Anthony'ego z trudem dotrzymał mu kroku. Gdy dojeżdżali do Heathcliffe markiz spytał:

- Czy zauważyłeś ten zadbane ogród?

- Oczywiście! Pomyślałem, że tylko marynarz potrafił utrzymać wszystko w takim porządku.

- No właśnie! A przecież widzieliśmy tam tylko mężczyznę, który zajął się naszymi końmi. Dlaczego czekał na nasz przyjazd? Drzwi otworzyły się od razu, kiedy tylko zapukaliśmy.

Anthony spojrzął na niego.

- Co sugerujesz?

- Jestem prawie pewien, że pani Wadebridge wiedziała o naszej wizycie.

- Jak, do licha, miała się o tym dowiedzieć?

Markiz przypomniał sobie mężczyznę odjeżdżającego spod domu, gdy oni się tam zjawili. Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądał. Na pewno nie był ubrany jak dżentelmen, więc mógł być stajennym albo służącym.

- O czym myślisz? - spytał zaciekawiony Anthony.

- Nie potrafię tego wyjaśnić, ale jestem coraz bardziej pewien, że dzieje się tutaj coś niezwykłego.

- Oczywiście - potwierdził przyjaciel. - To niezwykle, żeby tak piękna kobieta potrafiła przywołać papugi z lipy i zmusić je do potulnego siedzenia na jej ramionach - westchnął. - Nigdy nie widziałem piękniejszego widoku niż z tą dziewczyną.

- Kobieta - poprawił go markiz.

- Założę się, że nie ma jeszcze osiemnastu lat. Zapewne od niedawna jest mężatką. Kiedy kobieta wychodzi za mąż, od razu wygląda jak mężatka. - Przerwał szukając odpowiednich słów. - Coś traci. Może utrata niewinności zmienia jej poprzedni nieskazitelny wygląd.

Markiz spojrział na niego, nie kryjąc zdumienia.

- Zawsze udaje ci się mnie zaskoczyć. Muszę się jednak z tobą zgodzić, chociaż nie znam zbyt dużo młodych dziewcząt.

- Tylko nieliczne potrafiłyby dorównać urodą pani, jak ona się nazywa? Ivana Wadebridge?

- Zobaczysz ją jutro wieczorem. Do tego czasu chcę jeszcze trochę pomyszkować za naszymi rozbójnikami. Nie mam zamiaru dopuścić, aby jakaś ładna panienka z papugami odciągnęła mnie od poszukiwań.

Następnego dnia obydwaj mężczyźni przejechali wiele mil w poszukiwaniu kogoś, kto widział złodziei. Według informacji Markhama, mieli tylko kilku sąsiadów. Markiz dodatkowo odwiedził okoliczne wioski i rozmawiał z ludźmi mieszkającymi na farmach lub na skraju osiedli. Wszyscy z zaskoczeniem, ale i z wdzięcznością przyjmowali jego wizytę. Słyszeli o jego ojcu, podziwiali Heathcliffe i schlebiali markizowi w sposób, który Anthony uznał za zgubny.

- To źle wpłynie na twoje ego - powiedział, gdy wracali po dniu bezowocnych poszukiwań.

- Mnie wydali się bardzo przyjemni. Kłopot w tym, że żaden z nich nie słyszał o tych rzezimieszkach.

- Zaczynam się już zastanawiać, czy oni w ogóle istnieją. Może ich sobie wymyśliliśmy pod wpływem wyborowego wina.

- W takim razie chciałbym, żeby mój zegarek i tabakierki leżały na swoich miejscach - powiedział ostro markiz.

- No dobrze. Dzisiaj wieczór zapomnijmy o rozbójnikach i skoncentrujmy się na błękitnookiej piękności. Jeśli udała jej się ta sztuczka z papugami, może ma również dar jasnowidzenia i potrafi nam wskazać miejsce, gdzie znajdują się skradzione rzeczy.

- W tej wielkiej stodole mogłaby ukryć dziesięć razy więcej takich skarbów - roześmiał się markiz.

Nagle przypomniał sobie o czymś.

- O co chodzi? - spytał Anthony.
  - Kiedy przyglądaliśmy się pani Wadebridge z papugami, jestem pewien, że nie my jedni podziwialiśmy to widowisko.
  - Nie rozumiem.
  - Chociaż wtedy nie zwróciłem na to uwagi, teraz jestem niemal pewien, że widziałem w oknie stodoły czyjaś twarz.
  - Powiedziała, że budynek jest zamknięty.
  - Wiem o tym. Powiedziała również, że jest w domu sama ze swoją nianią. Jeśli to prawda, to do kogo należała drewniana noga?
  - Na pewno do ogrodnika.
  - Możliwe, ale przecież jeden ogrodnik nie potrafiłby tak utrzymać ogrodu. Poza tym nie sędzę, by stara niania, wyglądająca na co najmniej sześćdziesiąt lat, sama polerowała schody, meble, podłogi i inne przedmioty. Wszystko aż lśniło czystością.
  - Wymyśliłeś niezwykłą historyjkę - zaśmiał się Anthony.
  - Wydaje mi się, że przesadzasz. Ivana jest prostą, czarującą wiejską dziewczyną. Jeśli myślisz, że ukryła w stodole bandytów, to...
  - Jest to tak samo prawdopodobne jak papugi na lipie - dokończył za przyjaciela markiz.
  - No dobrze. Sam możesz ją dzisiaj spytać. Założę się o dziesięć gwinei, że niczego się nie dowiesz.
  - Zakład stoi.
  - Jeżeli mam kogoś poprzeć, opowiadam się po stronie Ivany. Nie dojdiesz do niczego.
  - Przyjmuję twoje wyzwanie. Wiesz dobrze, że nigdy się od tego nie uchylam.
- Ubrana w najlepszą, ale bardzo skromną suknię, Ivana słuchała niani powtarzającej wielokrotnie, że niemądrze było przyjmować zaproszenie markiza.
- Na pewno zaprosił cię, by nam narobić kłopotów.

- Gdybym odmówiła, wydałoby się to bardzo nieuprzejme. - Usiadła przed lustrem i patrząc na swoje odbicie powiedziała: - Może źle zrobiłam, ale nie potrafiłam wymyślić jakiejś wiarygodnej wymówki.

- Możemy przesłać wiadomość, że poczułaś się chora.

Ivana pomyślała o markizie. Czowała, że gdyby chciał zaprosić ją na obiad, powtarzałyby zaproszenie tak długo, aż zabrakłoby jej wymówek. Nie miała innego wyjścia, musiała je przyjąć.

- Pójdę i będę już to miała za sobą - powiedziała. - Przecież to tylko zwykły wieczór towarzyski, obydwaj panowie będą ziewać z nudów, zanim dotrwamy do deseru.

- Mam taką nadzieję - powiedziała oschle niania.

Dziewczyna roześmiała się.

- Po wszystkim, co przeszliśmy, nie możemy sobie pozwolić na obawy. To do ciebie niepodobne, żebyś bała się kogokolwiek, nawet markiza.

Uspokajała nianię, lecz sama się go lękała. Przez całe życie dochodziły do niej słuchy na jego temat, wiedziała, że jest przystojny i odważny, ale nie spodziewała się, że może zrobić na niej takie wrażenie. Podobnie jak inne kobiety uznała markiza i sir Anthony'ego za wybitnie przystojnych mężczyzn. Wyglądali elegancko i jednocześnie bardzo męsko. Wiedziała, że spodobała się sir Anthony'emu, ale w zachowaniu markiza dopatrywała się zupełnie innych uczuć.

- Czyżby coś podejrzewał? Jeśli tak, to co?

Krzyknęła z rozpacz, gdy zobaczyła drewnianą nogę zostawioną przez George'a w ogrodzie. Kiedy zorientował się, co zrobił, bał się wrócić, aby ją zabrać. Miała nadzieję, że markiz nie zauważył tego, choć była niemal pewna, że jego spostrzegawcze, onieśmielające ją oczy, niczego nie przegapiły. Zwłaszcza tego, czego nie powinien widzieć. Może zrobiła błąd wołając papugi z drzewa, ale chciała w ten

sposób odwrócić uwagę gości. Resztę dnia spędziła na zamartwianiu się z powodu ich wizyty i z trudnością usnęła. Teraz niania bez przerwy narzekała prasując jej suknię.

- Czemu nie zostawia nas w spokoju? Kto by to sobie wyobraził, markiz Veryan w tym domu. Twój biedny dziadek przewraca się w grobie.

To prawda. Veryan stąpający po ziemi Flagstaff House to istna zniewaga. Ale czemu miała kontynuować tę śmieszna wojnę, która zepsuła jej dzieciństwo? Nigdy nie pozwolono jej odwiedzić Heathcliffe, a ona spędzała czas siedząc na murze i patrząc tęsknym wzrokiem w tamtym kierunku.

- Czy mogłabym tylko zobaczyć stajnię, dziadku? - spytała kiedyś. Wywołała tym lawinę złorzeczeń, które doprowadziły ją do płaczu i złożenia wymuszonego przyrzeczenia, że już nigdy nie wspomni o Heathcliffe.

Plotki na temat markiza bez trudu docierały do Flagstaff House, ponieważ we wsi mówiono tylko o nim. Kiedy z księciem Walii przebywał w Brighton, miejscowi ludzie, którzy go tam widywali, opowiadali o jego ekstrawagancjach, towarzyszących mu pięknych kobietach i zwycięstwach jego koni na wyścigach. Teraz miała go odwiedzić, aby zjeść z nim kolację. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze, myśląc niespokojnie, że skoro nie ma eleganckiej, modnej sukni, mądrzej byłoby posłuchać niani i zostać w domu.

- Może mnie zlekceważy uznając za prowincjuszkę - powiedziała do siebie. - No i bardzo dobrze, zostawi mnie wtedy w spokoju.

Pomyślała jednak, że jeśli nawet tak się stanie, to przyjaciel markiza będzie bardziej zainteresowany jej twarzą niż strojem. Kiedy podjechał powóz, przepasała suknię szarfą i pozwoliła niani okryć sobie ramiona szalem.

- Uważaj na to, co mówisz, kochanie - przestrzegła ją niania. - Wracaj do domu najszybciej, jak będziesz mogła.

Będę się modliła, aby wszystko poszło dobrze. Strzeż się, bo zawsze możesz wpaść w jakąś pułapkę, kiedy się tego najmniej spodziewasz.

- Dobrze, nianiu.

Ivana pocałowała ją w policzek i wsiadła do powozu.

Przed domem w Heathcliffe czekało na nią czterech lokajów. Na widok witającego ją uprzejmie Traversa miała ochotę uciec do spokojnego, bezpiecznego Flagstaff House. Po chwili wahania z dumą uniosła głowę i podążyła za służącym do gabinetu, zapytując się w duchu, czemu miałyby obawiać się markiza lub jakiegokolwiek innego mężczyzny.

- Pani Wadebridge, milordzie - zaanonsował Travers.

Wychodzący na jej spotkanie markiz wyglądał wspaniale. Zdawała sobie sprawę, że błękitna suknia uszyta przez nianię zeszłego roku jest zbyt skromna, lecz mimo to dziewczyna wyglądała w niej, jakby zeszła z jednego z portretów wiszących na ścianach Veryan. - Powinien ją namalować Joshua Reynolds - pomyślał markiz, gdy odpowiedział skinieniem na jej ukłon. Anthony pod pretekstem, że jest mężatką, pocałował ją w rękę.

- Proszę usiąść - rzekł. - Na pewno wypije pani z nami kieliszek szampana.

- Będzie mi bardzo miło - odparła.

- Wydaje mi się, że w pani domu, tak bardzo kojarzącym się z marynarką, podawany jest wyłącznie rum - powiedział z błyskiem rozbawienia w oku.

- Jeśli myśli pan, że nie płacimy podatku od trunków, to muszę pana poinformować, że marynarze mają tak samo wysublimowane poczucie smaku jak żołnierze.

- Bardzo dobrze, pani Wadebridge - rzekł markiz. - Proszę nie pozwolić, żeby pani dokuczał. Aby udowodnić, że żołnierze również lubią morze, po obiedzie chciałbym pokazać pani kolekcję obrazów przedstawiających okręty.



- Są wspaniałe - powiedziała Ivana i szybko dodała: - Tak mi przynajmniej mówiono.

Ostatnie słowa wypowiedziała po krótkiej przerwie i markiz spojrział na nią pytająco. Chyba się zaczerwieniła, ale nie był tego pewien, gdyż szybko odwróciła głowę w kierunku Anthony'ego. Obserwował każdy jej ruch. Mógł się założyć, że znała drogę do jadalni. Również spojrzenia wymieniane z Traversem pozwalały przypuszczać, że już się kiedyś spotkali.

- Wydaje mi się, że mój zarządca, Markham, i pani ojciec przyjaźnili się ze sobą - powiedział zupełnie bez związku.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Czy tak powiedział?

- Mówił o pani ojcu z najwyższym uznaniem, zapytałem więc, czy się znali. Markham przyznał, że tak było w istocie.

- Przypuszczam, że się spotkali - powiedziała wymijająco.

- Robimy przecież zakupy w tej samej wsi.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała go, spytał więc zaczepnie:

- Czy to pani pierwsza wizyta w Heathcliffe? Ivana roześmiała się.

- Przez całe życie, nie anioł z płonącym mieczem, ale marynarski pistolet wycelowany w moje plecy, powstrzymywał mnie nawet przed spacerem w tym kierunku. - Powiedziała to takim tonem, że nie wypadało mu dalej pytać. Kiedy po obiedzie podano portwajn, wstała od stołu mówiąc: - Wydaje mi się, że powinnam poczekać na panów w salonie.

- Może zaczniemy zwiedzanie od biblioteki - zaproponował markiz. - Chciałbym pani pokazać skąd zniknęły moje tabakierki i jak pusto wygląda teraz to miejsce.

Dziewczyna wyszła z jadalni. Dopiero po chwili markiz zdał sobie sprawę, że nie spytała, gdzie znajduje się biblioteka. Pomyślał, że w holu spotka lokaja i będzie mogła

spytać o drogę. Ponieważ nie dawało mu to spokoju, powiedział:

- Jestem pewien, że coś dziwnego wiąże się z tą dziewczyną. Na pewno nie jest tą, za którą się podaje.

- Mnie się podoba taka, jaka jest - odparł Anthony. - Uważam ją za czarującą i prześliczną istotę. Dobry Boże! Czego się jeszcze po niej spodziewasz?

- Problem w tym, że nie wiem dokładnie. Coś podejrzewam albo jak mawiał mój ojciec „czuję w kościach”. Wydaje mi się, że wszystko jest inne niż pozornie wygląda i że ktoś próbuje mnie wprowadzić w błąd.

- To przez Rose stałeś się taki podejrzliwy. Uważasz, że jeśli ona cię oszukała, wszyscy mają zamiar zrobić to samo. Szukasz śladów stóp, kryminalistów za każdymi drzwiami i przemytników w piwnicy. Zakochałem się w tej dziewczynie i mam ochotę jej powiedzieć, że jest czarująca.

Zirytowało to markiza. Odstawił kieliszek, wstał od stołu i bez słowa opuścił jadalnię, podczas gdy Anthony nalał sobie jeszcze szklaneczkę portwajnu z karafki, zanim poszedł w jego ślady. Markiz znalazł Ivanę w bibliotece. Siedziała przy oknie nie interesując się zupełnie książkami ani obrazami, jak przystało inteligentnej kobiecie. Kiedy podszedł do niej, nie zwróciła na niego uwagi, tylko patrzyła na sylwetki drzew jeszcze widoczne w zapadającym zmierzchu.

- Tak tu ładnie. Jak mógł pan przez pięć lat nie przyjeżdżać do tak spokojnego i pięknego miejsca.

- Odkąd tu przyjechałem, ciągle zadaję sobie to pytanie.

- Uważam, że większość ludzi byłaby szczęśliwa wracając do miejsca, które prawie się nie zmieniło przez te lata.

- Ależ zmieniło się! - zaprotestował.

- Jak?

- Mnóstwo ludzi odeszło ze służby. Myślałem, że zobaczę znajome twarze, ale odszedł nawet mój lokaj, Bateman.

- Może go pan znaleźć we wsi.

- Zna go pani?

- Tak, oczywiście.

- Dlaczego oczywiście?

- Mieszkam tutaj, więc znam we wsi każdego.

- Może więc wie pani, co stało się z lokajami, którzy tutaj pracowali?

Ivana zeszywniała i odpowiedziała zmienionym głosem:

- Jestem pewna, że pański zarządca odpowie na wszystkie pytania dotyczące służby. Na mnie już czas.

Wchodząc do pokoju Anthony usłyszał ostatnie słowa.

- Wychodzi pani? Ależ to śmieszne! Mamy jeszcze wiele do pokazania, prawda Justinie? Na przykład zbiory obrazów i innych przedmiotów. Sądzę, że uzna je pani za fascynujące.

- Przykro mi - odpowiedziała. - Proszę mi wybaczyć, ale boli mnie głowa. Sądzę, że to z powodu upału. Było dzisiaj wyjątkowo gorąco.

- Jeśli musi nas pani opuścić, odwiozę panią do domu - rzekł Anthony. - Nie chcę, żeby pani sama jechała po zmroku.

- Nic mi się nie stanie - zaprotestowała pośpiesznie.

- Nie może być pani tego pewna. Przecież w zaroślach mogą czekać na panią rozbójnicy. Wyskoczą z krzykiem „pieniądze albo życie” i zabiorą pani klejnoty i pieniądze.

Ivana roześmiała się.

- Srodze się zawiodą, ponieważ nic nie mam.

- Jest pani zbyt piękna, by jechać sama - powtórzył Anthony. - Powinniśmy też wyjechać po panią.

- Na pewno będę zupełnie bezpieczna, jeśli odwiezie mnie Goddard.

Markiz zwrócił uwagę, że znała imię woźnicy. Tego nie dało się wyjaśnić spotkaniem we wsi, gdyż Goddard wraz z

rodziną mieszkał po drugiej stronie stajni i nie było powodu, aby pani Wadebridge widziała go poza Heathcliffe.

- Odwieziemy panią faetonem, chyba że z powodu wieczornego chłodu woli pani zakryty powóz?

- Z przyjemnością pojedę faetonem - odparła.

Markiz zadzwonił na służącego i kazał podstawić powóz. Anthony w tym czasie pokazywał Iwanie jeden z obrazów. Kiedy rozmawiali o malarstwie, przyglądał jej się rozmarzonym wzrokiem.

- Nie skończyłeś swojego portwajnu - rzekł do niego markiz, jakby chciał zapobiec romantycznemu interludium.

Ociągając się Anthony podszedł do stolika i wziął kieliszek. Markiz zwrócił się do Ivany.

- Nie powiedziałem pani, że mamy za sobą długie i wyczerpujące poszukiwania rozbójników.

- Poszukiwania?

- Przejechaliśmy prawie całe hrabstwo rozpytując różnych ludzi, nawet w wiejskich oberżach. To bardzo dziwne, że nikt nie słyszał o tej szajce.

- Może to przybysze?

- Tym dziwniejsze, że wybrali właśnie Heathcliffe na swój pierwszy wypad, podczas gdy w Brighton pełno jest ludzi posiadających klejnoty i grube portfele wypchane gwineami, nie licząc skarbów w Królewskim Pawilonie.

- Rozbójnicy mogą właśnie teraz okradać samego księcia Walii - odparła dziewczyna.

- Istnieje taka możliwość - zgodził się. - Nadal mnie jednak dziwi, że z całego Sussex wybrali właśnie Heathcliffe. I to pierwszej nocy po moim powrocie, po pięciu latach nieobecności.

- Na pewno byli zaskoczeni widząc pana - zasugerowała. Uśmiechnęła się, jakby czymś ucieszona, co wzbudziło zaciekawienie markiza. Podeszła do pustego sekretarzyka i

położyła rękę na szklanej powierzchni. - Czy nadal jest pan niepokieszony po stracie tabakierok, o których nie pamiętał pan przez lata nieobecności?

- Oprócz wartości materialnej, mają dla mnie znaczenie jako pamiątki po moim ojcu, który bardzo je lubił - odparł ostro wyczuwszy w tym pytaniu złośliwość.

- W takim razie, dlaczego nie przeniósł ich pan do jednego ze swych domów, w których bywał pan częściej?

W jej głosie była utajona wrogość, więc powiedział patrząc jej prosto w oczy:

- Widzę, że ma mi pani za złe nie tylko zapomniane tabakierki, ale również zaniedbanie Heathcliffe. Czyż nie mam racji?

- Dlaczego miałabym tak myśleć? Jeśli jednak poczuł się pan winny, bardzo przepraszam.

Już miał powiedzieć coś ciętego, gdy pojawił się Travers oznajmiając:

- Powóz zajechał, milordzie.

- Na mnie już czas - powiedziała pani Wadebridge. - Przepraszam, jeśli wydałam się panu nieuprzejma. Nie chciałabym zbyt długo zostawiać niani samej. Bardzo się boi.

- Czego? - spytał markiz.

- Ciemności. Niania wierzy w duchy, które pojawiają się nocą. A cóż innego mogłoby ją niepokoić?

Widząc błysk w jej oczach, pomyślał, że właśnie zmierzyli się w pojedynku słownym. Poczuł się dziwnie podekscytowany, bo zamiast uspokoić jego podejrzenia, jeszcze bardziej je rozbudziła. Wyszli do holu. Służący podał Iwanie szal.

- Dziękuję, Travers - powiedziała cicho.

Idąc do powozu, markiz próbował sobie przypomnieć, czy wymieniał przy niej nazwisko lokaja. Był prawie pewien, że

nie, ale przecież mogła go znać. Na pewno on również robił zakupy we wsi.

Ivana zajęła miejsce pomiędzy nimi i markiz domyślał się, że Anthony szepcze jej do ucha zabawne komplementy, pobudzając ją do śmiechu. Nie była nieśmiałą wiejską dziewczyną, jak się tego spodziewał, lecz pewną siebie kobietą, mimo młodego i niewinnego wyglądu. Doświadczone kobiety, jak na przykład lady Rose, z którą romansował, wyglądały inaczej. Domyślał się, że dziewczyna nie używa kosmetyków lub w bardzo małych ilościach. Na pewno nie chrapie w nocy, a jej twarz nie jest nad ranem wymazana szminką. Dojechali do Flagstaff House i markiz z wprawą pokonał zakręt na wąskim podejździe. Ivana wysiadła z powozu, dziękując im wylewnie za miły wieczór.

- Musimy się jeszcze zobaczyć - powiedział cicho Anthony odprowadzając ją do drzwi.

Nie musiała odpowiadać, ponieważ przed domem czekała na nią stara opiekunka patrząc jak kwoka niespokojna o swoje kurczątko.

- Dobranoc, sir Anthony - rzekła Ivana. - Pocałował ją w rękę. Spojrzała na markiza, który usiłował zapanować nad końmi. - Dobranoc, milordzie.

Uchylił kapelusza.

- Dobranoc, pani Wadebridge.

Anthony wsiadł do powozu. Markiz wprawnie zawrócił konie, tak że koła powozu nawet nie dotknęły trawy i bielonych kamieni. Minęli bramę i ruszyli do Heathcliffe. Markiz odwrócił się w stronę Flagstaff House. Z miejsca, w którym się znajdowali, mógł zobaczyć wystający zza budynku róg stodoły. W jednym z okien paliło się światło.

## Rozdział 4

Markiz obudził się bardzo podekscytowany, co nie zdarzyło mu się od wielu lat. Długo nie mógł zasnąć, myśląc o Ivanie i jej wyrazistych oczach. Rozpamiętywał każdy szczegół ich spotkania.

Wydała mu się przestraszona, kiedy obydwaj z Anthonym pierwszy raz weszli do jej salonu. Sądząc po tym, jak zostali przyjęci, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że obydwie kobiety spodziewały się ich wizyty. Nie zdziwiło go, że niania nazwała go milordem. Mieszkała w Flagstaff House od lat i dobrze wiedziała, że w sąsiedztwie nie było nikogo, kto dorównywałby mu wyglądem i pozycją. Bardziej zdziwiło go, że zaraz po ich przyjeździe drzwi frontowe otworzyły się i wyszedł parobek, jakby czekał na ich przybycie. Oczekująca w salonie Ivana wyglądała jak elegancka dama przygotowana na przyjęcie gości. Był pewien, że była zbyt aktywna, by siedzieć bez zajęcia. Trudno byłoby jednak to udowodnić.

Kiedy przywołała z drzewa papugi, wyglądała zachwycająco. Nagle przypomniał sobie jej rozmowę z Anthonym, gdy wracali do domu spod lipy, na której siedziały papugi.

- Na pewno długo uczyła się pani naśladować ich głos, by brzmiał tak podobnie - rzekł Anthony.

O ile markiz dobrze zapamiętał, odpowiedziała z uśmiechem:

- Och, potrafię świetnie naśladować głosy. Tak bardzo był pochłonięty myślami o stodole i symbolach marynarskich ułożonych z kamieni, że nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Teraz, przypomniawszy sobie głęboki ton, jaki wydała naśladowując papugi, zaczął się zastanawiać, czy równie dobrze potrafiłaby naśladować głos męczyzny. Chyba jednak posunął się za daleko w swych domysłach. To niemożliwe, by kobieta tak piękna jak Ivana Wadebridge, udawała rozbójnika.

Myśl ta prześladowała go nadal, chociaż w świetle poranka podejrzenia nieco zbladły i doszedł do wniosku, że nie powinien o tym wspominać przyjacielowi. Przy śniadaniu Anthony spytał go, zajądając cynaderki i świeże grzybki:

- Jakie emocje szykujesz dla nas dzisiaj? Czy nadal prowadzimy śledztwo? Zaczynam już nabierać w tym wprawy. - Markiz zaledwie uśmiechnął się. - Jeśli o mnie chodzi, chętnie odwiedziłbym Flagstaff House - ciągnął dalej Anthony. - Mam ochotę porozmawiać z tą ciemnowłosą błękitnooką ślicznotką. Jestem nią oczarowany.

Markiz już miał się przyznać, że on również chciałby zobaczyć panią Wadebridge, kiedy zorientował się, że w pokoju jest Travers.

- Mam co innego w planach... - zaczął, ale przyjaciel przerwał mu:

- Błagam, Justinie, nie zaczynaj znów o tym samym - powiedział Anthony i zauważył, że markiz przygląda mu się z niezadowoleniem. - Co się stało? - spytał, lecz zorientował się, że jest niedyskretny i zamilkł.

Zaczęli rozmawiać o koniach i wiadomościach przeczytanych w gazetach. Doszły do Heathcliffe dopiero po południu, gdyż odbierano je aż z Brighton. Kiedy przeszli do biblioteki, Anthony zapytał:

- O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzyłeś? Po co te wszystkie tajemnicze znaki przy śniadaniu?

Markiz obejrzał się, by sprawdzić, czy drzwi są zamknięte i powiedział:

- Ze względu na Traversa.

- Domyśliłem się, gdy dałeś mi znak, że popełniam gafę. Ale o co chodzi? Co ma do tego Travers?

- Nie mam dowodów, że to on posłał wiadomość do Flagstaff House, by uprzedzić o naszej wizycie. Jestem prawie



pewien, że to był Markham. Ale jeśli mamy odwiedzić naszą piękną sąsiadkę, chciałbym, żeby nikt jej o tym nie uprzedził.

- Wielkie nieba, Justinie! Wymyślasz jakieś straszne historie - zadrwił Anthony. - Uważam, nie gniewaj się za wyrażenie, że obszczekujesz niewłaściwe drzewo. Na pewno błękitnooka piękność jest tak czysta jak pierwszy śnieg i tak niewinna jak dziecko.

- Ma męża - zauważył złośliwie markiz - oraz służącego, który gubi drewnianą nogę, a ktoś sypia u niej w zamkniętej stodole.

- Skąd o tym wiesz? - spytał niemal zaczepnie Anthony.

- Kiedy odwoziliśmy ją wczoraj w nocy, w oknie stodoły paliło się światło.

- Nie powiedziałeś mi o tym.

- Zastanawiałem się, dlaczego pani Wadebridge kłamie i co ukrywa.

Zapadła cisza.

- Zaczynasz mnie zaciekawiać, Justinie. Przy okazji, jesteś mi winien dziesięć gwinei.

- Dlaczego?

- Ponieważ wczorajszego wieczoru nic się od niej nie dowiedziałeś. Taki był zakład.

Markiz westchnął.

- Masz rację. Uważam jednak, że zręcznie unikała odpowiedzi na pytania, które jej zadawałem.

- Jeśli później będziesz potrafił mi to udowodnić, oddam ci pieniądze. Na razie są moje.

Markiz uśmiechając się usiadł przy biurku.

- Czy weźmiesz weksel?

- Myślę, że mogę ci zaufać - zażartował Anthony.

Markiz napisał na kartce kwotę, którą był winien przyjacielowi, złożył ją i zręcznie rzucił w jego kierunku.

- Masz ochotę założyć się jeszcze o coś?

- O co? - spytał Anthony.

- Rozbójnikiem okaże się albo pani Wadebridge, albo jej mąż.

Anthony zaskoczony otworzył usta.

- Teraz dopiero udało ci się zażartować ze mnie.

- Nie, mówię zupełnie poważnie - zaprzeczył markiz. - Pamiętasz jak wczoraj powiedziała, że umie naśladować głosy? Kogo ukrywa w stodole, swego męża?

- Niby dlaczego miałyby to robić?

- Nie mam pojęcia. Chyba że zdezerterował z marynarki.

- To byłoby zupełnie niepodobne do Wadebridge'a, biorąc pod uwagę ich morskie tradycje.

- Miałyby powód, gdyby okazało się, że ma kłopoty.

- Tak, oczywiście. Rozumiem cię, ale brzmi to niewiarygodnie. Równie niewiarygodnie jak papugi na lipie, światło w stodole, rozbójnik wchodzący do salonu podczas obiadu i w końcu sama Ivana.

Anthony uniósł ręce do góry.

- Zgoda. Cała ta sprawa wydaje się absurdalna, nierealna jak sen.

Markiz bez słowa spojrział na sekretarzyk, w którym przechowywane były tabakierki jego ojca.

- W porządku - poddał się Anthony, - Wygrałeś! Ponieważ jednak nie wierzę w to, co mówisz, założę się, że Ivana Wadebridge nie jest rozbójnikiem, chociaż nie mam tej pewności, jeśli chodzi o jej męża.

- Zakład stoi. Pójdziemy dalej w naszych poszukiwaniach.

- To znaczy?

- Mam zamiar odwiedzić Batemana, który pracował w Heathcliffe jako lokaj przez ostatnie dwadzieścia pięć lat i który był tutaj podczas mojej ostatniej wizyty.

- Dobrze. Czy kazałeś przygotować konie?

- Powinny już czekać przed drzwiami.

Pojechali przez park, wybierając dłuższą drogę do wioski, aby móc pogalopować na koniach. Pomiędzy drzewami wystraszyli jelenia. Markiz domyślił się, że stado rozrosło się nadmiernie od czasu śmierci ojca i postanowił zawiadomić o tym gajowego. Po przyjeździe powinien spotkać się z wieloma ludźmi w majątku, a zamiast tego zajęty był tropieniem rozbójników. Należało pogratulować ogrodnikowi utrzymania ogrodów w doskonałym stanie, porozmawiać z gajowymi i leśniczymi oraz zażądać raportu o stanie farm. Markham nawet mu tego nie zaproponował. Może obawiał się, że go tym znudzi i chciał, aby markiz po prostu odpoczywał w Heathcliffe po tylu latach nieobecności zamiast zajmować się domowymi sprawami. Muszę się tym zająć - pomyślał. - Ponieważ jeszcze nie wyjeżdżamy, mam na to mnóstwo czasu.

Przejechali przez bramę, za którą leżała mała wioska z rzadko ustawionymi, krytymi strzechą domami. Większość z nich wybudował ojciec markiza dla swoich pracowników. Obok domów znajdowały się pełne kwiatów ogródki. Wieś skupiała się wokół normańskiego kościoła pochodzącego z czasów, gdy jeszcze nie było Heathcliffe. Kiedy w dzieciństwie towarzyszył dziadkowi podczas niedzielnych mszy, zauważył, że przykościelne grobowce zostały postawione przez Wadebridge'ów. Rodzina ta mieszkała w okolicy wiele lat przed pojawieniem się tu Veryanów, którzy przejęli nie tylko ich ziemię, lecz i wiodącą rolę w sąsiedztwie. Nie dziwił się nienawiści starego admirała do jego ojca. Ciekaw był, co teraz czuje do niego Ivana. Był prawie pewien, że bardziej przepęlnia ją strach niż nienawiść. Zobaczył spacerującego mężczyznę, który wyglądał na duchownego. Zatrzymał przy nim konia.

- Czy jest pan tutaj wikarym?

Pastor spojrział na niego zaskoczony, lecz po chwili poznał go i odpowiedział:

- Tak. - A pan jest zapewne markizem Veryan.

- Jestem mile zdziwiony, że mnie pan poznał. Duchowny uśmiechnął się.

- Nie poznałem, milordzie. Słyszałem po prostu, że przyjechał pan do Heathcliffe. Bardzo pan przypomina swego ojca.

- Znał go pan?

- Tylko przez ostatnie dwa lata jego życia. Cieszę się, że w Heathcliffe znów mieszka Veryan.

- Dziękuję. Nie przyjeżdżałem tu od dawna. Chcę teraz odwiedzić Batemana, który odszedł ze służby. Czy mógłby mi pan wskazać dom, w którym mieszka?

- W Haytop - powiedział pastor wskazując budynek. - Nie czuje się jednak dobrze, biedny człowiek.

- Przykro mi. Czy to z powodu choroby zrezygnował z pracy?

Duchowny zawahał się. Ponieważ markiz czekał na odpowiedź, rzekł:

- Czy Markham nie poinformował milorda o okolicznościach jego odejścia?

- Nie. Byłbym wdzięczny, gdybym dowiedział się o tym od pana.

Zsiadł z konia i podszedł do pastora. Był to mężczyzna w średnim wieku, o włosach przyprószonej siwizną.

- Uważam, że Markham dobrze zrobił - powiedział po chwili wahania. - Bateman pił za dużo i nie mógł wykonywać swoich obowiązków.

- Pił?

- Ja go nie potępiam, milordzie, ale uważam, że nie miał zbyt dużo do roboty, a odkąd dostał do ręki klucze do piwnicy, pokusa okazała się silniejsza.

- Bardzo żałuję. Zawsze uważałem go za poczciwego człowieka.

- Taki był. Ale szatan działa na szkodę tych, którzy próżnują.

Markiz zacisnął usta.

- Powiedział pan - Haytop. Dziękuję, pastorze. Miło mi było pana poznać.

- Mnie również.

Trzymając konia za uzdę, markiz ruszył w kierunku domku wskazanego przez duchownego. Po drugiej stronie ulicy kilku chłopców z podziwem przyglądało się ich wierzchowcom. Skinął na najwyższego z nich, który szybko przebiegł drogę.

- Chcę żebyś przypilnował mojego konia. Wiesz jak postępować z końmi?

- Tak, psze pana.

- Trzymaj go po prostu za cugle, a kiedy zacznie zachowywać się niespokojnie, przeprowadź kawałek wzdłuż drogi. Do kościoła i z powrotem. Zrozumiałeś?

- Tak, psze pana.

Anthony zrobił to samo ze swoim wierzchowcem. Dwaj chłopcy, zaczerwienieni z emocji, gorliwie zajęli się końmi. Markiz wraz z przyjacielem poszli wąską ścieżką prowadzącą do czarno - białego domku. Drzwi otworzyła młoda kobieta około trzydziestki. Zaskoczona ich wizytą dygnęła niezgrabnie, niezdolna do powiedzenia choćby słowa.

- Jestem markiz Veryan. Chciałbym zobaczyć się z Batemanem. Czy jesteś jego córką?

- N...nie, jaśnie panie... siostrzenicą. Mieszkam tutaj i zajmuję się domem.

- Pracowałaś w Heathcliffe?

- Tak, panie.

- Stęskniłem się za twoim wujem. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

Kobieta wahała się przez chwilę.

- On bardzo się zmienił.

- Rozumiem. Gdzie jest? W odpowiedzi otworzyła drzwi do małego, lecz czystego pomieszczenia, w którym leżał ubrany w czerwoną koszulę stary lokaj. Trudno było go poznać. Zawsze wyglądał godnie, świątobliwie, prawie jak arcybiskup. Teraz miał czerwoną, nabrzmiałą twarz, trzęsły mu się ręce i głowa.

- Jaśnie pan przyszedł cię odwiedzić, wuju - powiedziała kobieta i wróciła do kuchni, zostawiając ich samych.

Markiz przysunął do łóżka jedno ze stojących w pokoju krzesel. Po przekrwionych oczach poznał, że mimo choroby Bateman nie zrezygnował z picia.

- Przykro mi widzieć cię w takim stanie - powiedział. - Stęskniłem się za tobą. Dom już nie jest taki sam bez ciebie.

- Cieszę się, że jaśnie pan tak mówi, milordzie. Planowałem wszystko przygotować na pański przyjazd, ale zmogła mnie choroba. Pan Markham dał mi ten domek - zawahał się - nie dlatego że chciał się mnie pozbyć - dokończył urażonym tonem.

Chociaż był wczesny ranek, Bateman bełkotał niewyraźnie i markiz domyślił się, że albo zdążył się już upić, albo miał kaca po nocy. Zdziwił się w duchu, że siostrzenica dopuściła do tego, wiedząc, jak jest chory. Zainteresowały go jednak słowa mężczyzny.

- Dlaczego Markham chciałby się ciebie pozbyć?

- Tego pan sam musi się dowiedzieć, milordzie.

- Znamy się tak długo, wiem, że mój ojciec miał do ciebie zaufanie, a ja zawsze sądziłem, że jesteś oddany pracy w Heathcliffe.

- Uważałem je za swój dom. Pański ojciec był wielkim dżentelmenem, nikt temu nie zaprzeczy.

- Zgadzam się z tobą - powiedział spokojnie markiz. - Próbuję się tylko dowiedzieć, czy stało się coś złego po jego śmierci. Dlaczego odszedłeś ze służby?

- To nie było w porządku. Po tym jak Cobbler i Wilkins poszli na wojnę, nie było nikogo na ich miejsce. Początkowo dawałem sobie radę, ale nie było mi łatwo.

- Nikt nie został przyjęty na miejsce Cobblera i Wilkinsa?

- Nie, milordzie. Potem odszedł James, następnie Nicholson, chociaż ten nigdy nie pracował zbyt dobrze. Próbowałem jakoś sobie radzić, ale to było dla mnie za dużo.

- Powiedziałeś o tym Markhamowi?

- Jemu? Wielokrotnie mu o tym mówiłem, ale nie chciał słuchać. - Po chwili przerwy dodał: - Miał swoje powody. Wiem o tym, ale to takie niesprawiedliwe.

- Jakie powody? - spytał ostro markiz. Popełnił błąd. Bateman zeszywniał i stracił ochotę do zwierzeń. Po jego oczach poznali, że przypomniawszy sobie coś, co go przestraszyło. Opadł z powrotem na poduszki.

- Siostrzenica uważa, że za dużo mówię - powiedział już innym tonem. - W głowie mi się czasami płacze. Nie mam nic przeciwko Markhamowi. Był dla mnie bardzo wielkoduszny. Bardzo.

Markiz nie zareagował na zmianę jego zachowania. Stwierdził, że nic się już od niego nie dowie, więc nie ma sensu naciskać. Wstał z miejsca.

- Cieszę się, że cię zobaczyłem, Bateman. Wyzdrowiej prędko. Chciałbym, żebyś znów dla mnie pracował w Heathcliffe.

- Już za późno, milordzie. Za późno.

Mężczyźni opuścili pokój. W kuchni siostrzenica chorego robiła coś przy piecu.

- Przykro mi znaleźć twojego wuja w takim stanie - powiedział markiz. Gdy nic nie odpowiedziała, dodał: - Na pewno nie powinien pić.

Kobieta uczyniła niespokojny gest ręką i odwróciła oczy.

- Nic na to nie poradzę.

- Powinnaś mu zabronić. Skąd ma na to pieniądze? - Na jej twarzy widniały strach i upór. Milczała. Markiz ciągnął dalej: - Rozumiem, że nie chcesz mi zaufać.

- Nie, milordzie. To niemożliwe.

Wyjął dwie gwinee z kieszeni kamizelki i położył je na stole.

- Proszę coś kupić za to wujowi. Ale nie alkohol. Zrozumiałaś?

- Tak, dziękuję.

Znów dygnęła. Mężczyźni wyszli. Zapłacili chłopcom za pilnowanie koni i odjechali w milczeniu.

- Jak myślisz, co to wszystko znaczy? - zapytał Anthony, kiedy wyjechali ze wsi.

- Nie jestem pewien. Na razie mam sporo do przemyślenia.

Kiedy dojechali do parku, Anthony odruchowo skierował konia do Flagstaff House, ale markiz powiedział:

- Nie mam dzisiaj ochoty widzieć się z panią Wadebridge, Chcę najpierw zastanowić się nad tym, co wiem, i dowiedzieć się czegoś więcej na temat Batemana.

- W porządku. Dokąd zatem jedziemy?

- Do ogrodnika Grimshawa. Przynajmniej on nie został zwolniony ani odesłany na emeryturę.

- Wygląda na to, że nie brak mu pracowników. Nigdy nie widziałem tak dobrze utrzymanego ogrodu. Chyba tylko w Flagstaff House.

- Mam nadzieję, że Grimshaw powie nam coś więcej.



Zawrócili konie, przejechali obok stajni i skierowali się do widocznego za wysokimi murami ogrodu warzywnego, domu z czerwonej cegły, zajmowanego zawsze przez głównego ogrodnika. Gdy dojechali na miejsce i zsiadli z koni, ujrzeli człowieka pchającego taczki z odpadkami do śmietniska znajdującego się pod murem. Zawołali go, żeby popilnował koni. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby przekonać się, że mają do czynienia z marynarzem. Szedł wyraźnie utykając. Markiz nie miał jednak zamiaru wypytywać robotników, zanim nie porozmawia z Grimshawem. Zobaczył go na końcu dużego zadbanego ogrodu, w którym każda piędź ziemi była odpowiednio zagospodarowana i uprawiona. Nawet szybki w cieplarniach błyszczały w słońcu, jak wypolerowane. Drzewa owocowe rosły w rzędach, przygotowane do dawania większych i coraz lepszych plonów. Grimshaw postarzał się od ich ostatniego spotkania. Powitał go z radością.

- Jakże się cieszę, że widzę pana po tylu latach, milordzie  
- powiedział z charakterystycznym dla hrabstwa Sussex akcentem.

- Ja również się cieszę, że wróciłem. Muszę cię pochwalić, Grimshaw. Nigdy nie widziałem ogrodów tak pięknych i tak zadbanych.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony.

- Jak poradziłeś sobie przez ostatnie lata wojny, kiedy trudno było znaleźć ludzi do pracy?

- Może gdzie indziej, u nas nie było problemu.

- Dlaczego?

- Markhamowi udawało się najmować w jakiś sposób robotników.

- Jak on to robił?

- Po pierwsze zgłaszało się dużo kulejących, niewidomych. Zawsze żartowałem, że mimo kalectwa zmuszę ich do dobrej roboty.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zatrudnialiście inwalidów wojennych?

- Tak, milordzie. Marynarze woleli pracować niż głodować, a mnie udało się ich przyuczyć do ogrodnictwa. - Markiz nic się nie odezwał i mężczyzna ciągnął dalej; - Od czasu zawarcia rozejmu mieliśmy mnóstwo ludzi, tyle że niektórzy nigdy przedtem nie widzieli na oczy łopaty. Uczyłem ich więc, a oni narzekali, że nie są szczurami lądowymi, lecz byli całkiem zadowoleni.

- Jeszcze raz gratuluję ci osiągnięć. Dziękuję, Grimshaw. Już miał odejść, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. - Tak przy okazji, ilu ludzi pracuje teraz dla ciebie?

- Szesnastu, milordzie. Markiz oszedł z Anthonym ścieżką między grządkami warzywnymi.

- Zwolnieni z marynarki - powiedział cicho. - Najpierw inwalidzi, a od kwietnia zwolnieni ochotnicy.

- Podobno są ich setki. Ktoś w klubie powiedział w zeszłym tygodniu, że rozbrajamy się w nieprzyzwoitym tempie.

Markiz skinął głową.

- Słyszałem jak St. Vincent przemawiał w Izbie Lordów - rzekł w zamyśleniu. - Nalegał, by zmniejszyć wydatki przeznaczone na utrzymanie administracji w marynarce.

- Mnie powiedziano, że nasze okręty wymagają natychmiastowego remontu, lecz mimo to zwalniani są dokerzy, wycofywane kontrakty z prywatnymi przedsiębiorcami, a nadwyżki zapasów wyprzedawane, często przez francuskich pośredników.

Markiz spojrział na niego uważnie.

- To ty mówiłeś, że nie mamy powodów, aby bać się Bonapartego - rzekł oskarżycielsko. - Jestem pewien, że on teraz w szybkim tempie buduje nowe okręty.

- Próbujesz mnie przestraszyć - odpowiedział Anthony. - Zajmij się lepiej swoim tropieniem. Pamiętaj, że dzięki tej sytuacji w twoich ogrodach pracuje prawie cała załoga okrętu.

Markiz nie odpowiedział, pogrążony w myślach. Dojeżdżali do domu. Zbliżała się pora obiadu.

- Ani słowa przy Traversie o tym, co odkryliśmy dzisiaj rano - rzekł markiz, zanim przeszli do jadalni.

- Twoje słowa są dla mnie rozkazem - zażartował Anthony. - A kiedy odwiedzimy naszą ślicznotkę?

- Jak się do tego przygotowuję - odparł z irytacją markiz.

- A kiedy to nastąpi?

- Gdy zdobędę więcej dowodów, aby posadzić ją na ławie oskarżonych.

- Jeśli mówisz poważnie, będę musiał ci zdrowo przyłożyć.

- Proszę bardzo, możesz spróbować. Pamiętaj jednak, że w walce wręcz mamy równe szanse, ale jeśli chcesz możemy walczyć na miecze lub pojedynkować się na pistolety.

- Na pewno okazałbyś się lepszy. Będę musiał pokonać cię w jakiś inny sposób.

- Przestań ze mną walczyć. Chcę, żebyś był po mojej stronie. Zrozum, dzieje się teraz coś fantastycznego. Jeśli nie dotrzemy do sedna sprawy, będzie mnie to nurtowało do końca życia.

- Ja też jestem ciekaw - przyznał Anthony - na przykład tego, jaki jest jej mąż.

Markiz wziął z krzesła poduszkę i rzucił nią w przyjaciela. Anthony złapał ją zręcznie i odrzucił z powrotem. W tym momencie Travers oznajmił, że podano do stołu. Po wyśmienitym posiłku przeszli do biblioteki.

- Co teraz? - spytał Anthony podchodząc do okna.

Markiz udał, że przeciągle szlocha.

- Co się stało? - zapytał Anthony.

- Chyba zwariowałem - usłyszał w odpowiedzi. - Już dawno powinienem o tym pomyśleć.

- O czym?

- Żeby przejrzeć księgi rachunkowe Markhama.

- Czego byś się z nich dowiedział?

- Wielu istotnych spraw. Każdego miesiąca otrzymuję w Londynie zestawienia wydatków ze wszystkich moich majątków. Czasem przeglądam je osobiście, a czasem oddaję mojemu sekretarzowi do sprawdzenia, czy nie ma w nich jakichś niezwykłych wydatków. - Anthony słuchał go uważnie. - Dokładnie pamiętam, że dwa albo trzy miesiące temu, gdy przeglądałem rachunki z Heathcliffe pomyślałem, że pomimo wojny wydatki utrzymały się mniej więcej na takim samym poziomie jak za życia ojca.

- Co to oznacza?

- To znaczy, że ci nowi pracownicy, a jest ich na pewno więcej niż mieliśmy kiedykolwiek, muszą być jakoś opłacani.

Po chwili milczenia Anthony powiedział:

- Rozumiem, co masz na myśli, ale być może inwalidom płacono mniej.

- Możliwe, lecz to wszystko powinno być odnotowane. Nawet zmiany w obsadzie lokajów.

- A więc przejrzymy księgi i przekonajmy się o tym.

- Właśnie o tym myślałem. Lepiej będzie, jeśli o przyniesienie ksiąg nie zwrócimy się bezpośrednio do Markhama.

- Dlaczego?

- Mógłby je z łatwością zamienić albo powiedzieć, że gdzieś się zapodziały, a nawet obarczyć ich kradzieżą rozbójników.

- Rozumiem. Jak w takim razie masz zamiar je otrzymać?

- Pójdziemy się teraz przejść po domu - rzekł po chwili namysłu markiz. - W holu powiem do ciebie: „A propos,

Anthony, od chwili przyjazdu nie zaglądaliśmy do oranżerii. Na pewno Grimshaw posadził tam jakieś nowe rośliny".

- I co dalej?

- Oranżeria jest niedaleko biura. Przejdziemy przez zamkniętą od niepamiętnych czasów salę balową, zajrzemy do zbrojowni, gdzie obejrzymy pistolety i wstąpimy do biura, ponieważ mieści się w sąsiednim pokoju. Gdy spotkamy Markhama, będzie to zupełnie naturalne, że zaszliśmy do niego po drodze. Jeśli go tam nie będzie, poszukamy, co nam potrzebne.

- Wspaniale. Marnujesz się. Powinieneś zostać szefem Bow Street Runners albo zająć się organizowaniem policji narodowej.

- Może to kiedyś zrobię. Za długo już się mówi na ten temat.

- Jedno jest pewne. Nikt w parlamencie nie będzie teraz głosował za przyznaniem funduszków na ten cel.

- To prawda. Nie przy takim zadłużeniu państwa.

Jak mali chłopcy oddający się zabawie, poszli odegrać scenę zaproponowaną przez markiza. Lokaje w holu usłyszeli, że wybierają się do oranżerii. Markiz tylko domyślał się obecności podsłuchującego Traversa. Oranżeria pełna była kwiatów i roślin zbieranych przez jego ojca. Wszystko utrzymane było w należyтым porządku, chociaż dotychczasowy zbiór roślin nie powiększył się o nowe nabytki. Równie zadbana okazała się zbrojownia, ale sportowe strzelby były przestarzałe, a pistolety nadawały się tylko do muzeum. Nie zabawili tam długo. Kiedy wyszli na korytarz, markiz przemówił donośnym głosem:

- Skoro już tu jesteśmy, chciałbym, żebyś obejrzał starą mapę naszych posiadłości, która wisi w biurze. Zobaczymy, gdzie znajdują się granice sąsiadujące z majątkiem admirała.

- Chętnie ją zobaczę. Markiz otworzył drzwi. Ku jego uldze w pokoju nie było nikogo, tylko na biurku leżała otwarta księga z rejestrami, a obok niej pióro. Wyglądało, jakby Markham został gdzieś niespodziewanie odwołany. Markiz podszedł do rejestru i przewracając kartki pomyślał, że o to mu właśnie chodziło.

Wszystkie wydatki z ostatnich czterech lat były starannie zapisane, w takim samym układzie, w jakim zostały mu przysłane do Londynu. Zabrał księgę i obydwaj pospiesznie przeszli do biblioteki. Tam markiz zasiadł przy biurku.

- Teraz dowiemy się, co naprawdę tutaj się dzieje. - Otworzył księgę i cofnął się do zapisków sprzed dwóch lat.

- Oto spis służby. Między innymi widzę nazwiska Batemana, Cobblera, Wilkinsa, Jamesa i Nicholsona.

- Kiedy to było?

- Na początku 1800 roku. - Miał już odwrócić kartkę, kiedy zastanowił się: - Nie wiem kiedy Cobbler, Wilkins i pozostali dwaj odeszli, ale Bateman mówił, że miał kłopoty z pracownikami, zanim odszedł na emeryturę. Musimy sprawdzić, kto ich zastąpił. Przejrzał do końca, karta po kartce notatki Markhama. Patrząc na niego, Anthony zapytał szybko:

- Co takiego odkryłeś?

- Według tych zapisków, Cobbler, Wilkins, James i Nicholson są nadal moimi pracownikami.

Płaci im się regularnie, każda pensja jest tutaj zapisywana.

- Markham cię oszukiwał!

- Właśnie! Od niego zacznę śledztwo. Zadzwoń po niego!

Stanowczy ton wskazywał na silne wzburzenie markiza. Anthony wiedział, że jedyną rzeczą, która potrafi wyprowadzić go z równowagi, jest oszukanie lub wprowadzenie w błąd przez kogoś, komu ufał. Nie odezwali się słowem, dopóki nie pojawił się Travers.

- Powiedz Markhamowi, że chcę z nim natychmiast mówić.

- Dobrze, milordzie.

Anthony podszedł do okna, czując jak atmosfera robi się coraz cięższa. Otworzył jedno z okien wychodzących na ogród i odwrócił się do markiza.

- Chcesz, żebym został?

- Oczywiście! Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł zarządca.

Widać było, że jest zaniepokojony, a gdy podchodził do biurka, markiz zauważył jego ściągniętą strachem twarz.

- Przeglądałem księgi, Markham i chcę żebyś mi wyjaśnił, dlaczego czterem lokajom, którzy nie pracują już u mnie, nadal wypłaca się pensje.

- Musiałem to przeoczyć, milordzie - odpowiedział drżącym głosem. - Ponieważ czterej inni, których zatrudniłem na ich miejsce, zostali przyjęci tymczasowo i otrzymują to samo wynagrodzenie, wydawało mi się, że nie muszę za każdym razem zmieniać ich nazwisk.

Markiz pomyślał, że brzmi to wiarygodnie, ale chciał wy badać wszystko dokładnie.

- Dlaczego tymczasowo?

- Niełatwo jest znaleźć ludzi w sąsiedztwie; musiałem przyjąć tych, którzy się zgłaszali, a wielu z nich pracowało niezadowolająco.

Spojrzał na zarządcę. Markham był blady i spocony. Markiz miał doświadczenie w kierowaniu ludźmi, więc domyślił się, że chociaż mężczyzna próbuje się opanować, jest bardzo wystraszony.

- Zauważyłem również, że nie zaznaczyłeś, kiedy odszedł Bateman, a Travers zajął jego miejsce.

- Nie, milordzie. Z tego samego powodu.

- Ależ Travers wygląda na doświadczonego pracownika, na pewno chciałeś, aby tu został.

- Nie wiedziałem, czy on tego chce. Markiz przerzucił kilka kartek.

- A teraz ogrodnicy. Grimshaw powiedział mi, że w tej chwili pracuje u niego szesnastu ludzi. Zazwyczaj chyba tylu nie potrzebujemy.

- Grimshaw nie narzekał, że ma za dużo pracowników.

- Nie o to chodzi - powiedział sucho markiz. - W zestawieniu płace ogrodników zapisane są tylko dla dziesięciu pracowników. A gdzie reszta?

- Niektórzy są nowi, nie chciałem płacić im tyle samo, co zatrudnionym od lat.

Markiz przyjrzał się nazwiskom i wrócił do początku księgi.

- Znów nazwiska, których nie zmieniłeś.

- Tak, milordzie.

- Coś tutaj się dzieje. Coś, co mi się nie podoba i wygląda na zwykłe oszustwo.

- Nie, milordzie. To nieprawda. Zarządca zaczął się trząść. Anthony mając dość tych indagacji, wstał i wyszedł z pokoju. Nagłym ruchem markiz walnął pięścią w biurko, aż zabrzączał kałamarz.

- Żądam prawdy - powiedział z wściekłością. - Całej prawdy. Markham westchnął ciężko. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i dobiegł ich głos:

- Zaraz ją pan usłyszysz.



## Rozdział 5

Markiz ze zdziwieniem patrzył na wchodzącą do pokoju Ivanę Wadebndge. Miała na sobie tę samą szmaragdowozieloną suknię, w której zobaczył ją pierwszy raz. Gdy podeszła bliżej, zauważył, że jest nienaturalnie blada i przestraszona. Zdumiony jej nagłym przybyciem, nie wstał nawet zza biurka.

- Nie, panienko, proszę to zostawić mnie - wykrzyknął Markham. - Nie może być pani w to zamieszana.

Ivana uśmiechnęła się do niego.

- Ależ ja jestem zamieszana, Marky. Nie możemy już dłużej się ukrywać. Niech lepiej jego lordowska mość dowie się najgorszego.

- Nie, błagam.

- Zostaw to mnie - powiedziała stanowczo. - Chciałabym pomówić z lordem sam na sam.

Zarządca chciał zaprotestować, ale zdał sobie sprawę, że to beznadziejne, machnął ręką i wyszedł z pokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Ivana zajęła miejsce Markhama przed biurkiem markiza.

- Bardzo się pani troszczy o moją służbę - powiedział lodowatym tonem. - Jestem gotów wysłuchać pani wyjaśnień. Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Spojrzał na księgę i czekając, aż znajdzie odpowiednie słowa dodał ostro: - Po pierwsze, co pani tutaj robi? I dlaczego wchodzi pani do mojego domu w taki dziwny sposób?

- Przyszłam zobaczyć się z Traversem - wyjaśniła. - Powiedziano mi, że zabrał pan księgę rachunkową z biura i poszedł z nią do biblioteki.

- Powiedziano pani? - zapytał markiz. - Czy wszystko, co się u mnie dzieje, dochodzi do pani uszu?

- Większość.

Prychnął z irytacją i z powrotem usiadł na krześle.

- Słucham panią. Jak już powiedziałem Markhamowi, chcę znać całą prawdę.

Ivana westchnęła.

- Zdałam sobie sprawę, kiedy przyjechał pan tak niespodzianie, że nie będziemy mogli ciągnąć tego dłużej.

- To rzeczywiście nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że zdecydowałem się przyjechać do własnego domu.

- Przynajmniej dla nas.

- Co to znaczy „dla nas”?

- Niani, Marky'ego, Traversa i oczywiście ludzi, którym pomagamy.

Markiz zacisnął usta.

- Chcę dowiedzieć się coś na ich temat. Domyślam się, że to marynarze.

- Oczywiście.

- Może jednak zacznie pani od początku. - Mimo gniewu zdał sobie sprawę, że powinien przestrzegać pewnych form i powiedział niechętnie: - Zechce pani usiąść.

- Nie, dziękuję. Wolę stać. Wiem, że pan sprawuje sąd nade mną. - Nic nie odpowiedział. Patrzył na nią surowo, zastanawiając się, w jaki sposób go oszukano i zrobiono głupca przed służbą. Nie lubił tego i nie zamierzał okazać jej litości. Jakby odgadując jego myśli, Ivana odezwała się po chwili: - Myślę, że zacznę, jak pan sugerował, od początku.

- Wydaje mi się to oczywiste - odparł zimno.

- Wszystko zaczęło się trzy lata temu, kiedy mój brat wrócił do Anglii po bitwie na Nilu.

- W której zginął pani ojciec.

- Tak. Charles służył wtedy jako aspirant i udało mu się przeżyć. - Kiedy przerwała, zauważył w jej oczach łzy i usłyszał drżenie głosu. Po chwili mówiła dalej: - Charles powiedział mi, jak dzielny był tata przed śmiercią. Przywiózł też ze sobą marynarza, który ocalił mu życie, ale został ciężko

poraniony. Na pewno słyszał pan, że niewdzięczne państwo nie uczyniło nic dla rannych marynarzy. Kiedy zostali zwolnieni pozostało im tylko żebranie lub kradzieże.

- Wiem o tym. Uważam to za skandal, lecz nic na to nie mogę poradzić.

- Wiedziałam, że takie będzie pańskie stanowisko - powiedziała pogardliwie. - I dlatego czuję się usprawiedliwiona. Skończę jednak moją historię.

- Tak będzie rzeczywiście lepiej, zamiast zajmować się ubocznymi sprawami, które zaprowadzą nas donikąd.

Jej błękitne oczy pociemniały z gniewu.

- Razem z nianią troskliwie pielęgnowaliśmy George'a i dzięki nam pozostał przy życiu, ale będzie już zawsze kaleką.

- Domyślam się, że chodzi o mężczyznę z drewnianą nogą

- A więc pan zauważył?

- I wiele innych rzeczy.

- Bałam się, że pana to zaciekawia.

- Tylko dlatego że oszukała mnie pani mówiąc, iż mieszka sama z piastunką mimo że ktoś sypia w pani stodole.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ponieważ zauważyłem światło w oknie, kiedy obydwaj z Anthonyem odwoziliśmy panią do domu.

- To była nieostrożność. Nie spodziewałam się, że wrócę w waszym towarzystwie.

- Kiedy ktoś zaczyna kłamać, powinien to robić tak, żeby nic się nie wykryło - powiedział złośliwie.

- Gdy George poczuł się lepiej, byliśmy bardzo dumne z tego, co dla niego zrobiliśmy. Pewnego dnia pojechaliśmy na zakupy do Brighton. Tam zobaczyłam dwóch marynarzy próbujących coś wyżebrać od paradujących po ulicach bogatych dżentelmenów i dam obwieszonych klejnotami. - W jej głosie zabrzmiała pogarda. - Byli bardzo wygłodzeni, została na nich tylko skóra i kości. Nikt się jednak nie

zatrzymał, aby im pomóc, nikt nie dał nawet funta z tych setek, które przeznaczano na gry w Pawilonie Królewskim.

- Więc przywiozła ich pani ze sobą do Flagstaff House.

- Oczywiście! Jak obywatele naszego kraju mogli zostawić w potrzebie ludzi, którzy gotowi byli umrzeć, broniąc naszej niepodległości przed Bonapartym? - mówiła, prawie kłując go tymi słowami.

- Proszę mówić dalej - powiedział spokojnym głosem.

- Domyślałam się, że zaczęły rozchodzić się pogłoski o tym, co robimy. Gdy przybyli następni, aby prosić o pomoc, nie mogłam im odmówić.

Popatrzyła na niego, jakby błagając, żeby ją zrozumiał.

- Domyślałam się, że zabrakło pani pieniędzy - rzekł po chwili.

Skinęła twierdząco głową.

- Sprzedałam całą biżuterię, którą miałam po mamie, i wszystko co dostałam od Charlesa. Nie mogłam sprzedać mebli, ponieważ są jego własnością.

- Zamiast tego zwróciła się pani o pomoc do Markhama.

- Zawsze szczerze podziwiał mego ojca. Kiedy tata zginął, żałował go prawie równie mocno jak ja. Wiedział, że pomagając tym marynarzom, robię coś, co tata na pewno by pochwalił.

- Zaczął więc fałszować rachunki - powiedział szorstko.

- Niezupełnie. Kiedy jeden po drugim lokaje odeszli, nie zatrudnił nikogo na ich miejsce, a mnie przekazywał pieniądze z ich pensji.

- Okazało się to jednak niewystarczające.

- Dawaliśmy sobie radę. Jednak w zeszłym roku coraz więcej ludzi przybywało błagać o pomoc. Staralam się stanowczo odsyłać ich z niczym, ale nie mogłam znieść ich bezradności. Odchodzili bez próśb, lecz czułam jakby mówili: „Rozumiem, panienko, jakoś sobie poradzę”. - Głos jej się

załamał. - Wiedziałam, że nie dadzą sobie rady. Ich rany ropiały, niektórzy nie mieli ręki lub nogi, inni nie myśleli normalnie... byli na pół szaleni... od okropności, które przeżyli.

- Co więc pani zrobiła? - spytał, znając już odpowiedź.

- Sprzedałam tabakierkę. - Bez słowa spojrział na dziewczynę. Wyglądała na niezdolną do dalszej opowieści. Z wysiłkiem jednak zaczęła mówić dalej: - Nie była najlepsza, prawdę mówiąc wydała mi się okropna. Ale sprzedawca, który kupował ode mnie biżuterię mamy, dał mi za nią zaskakująco wysoką cenę.

Markiz przypomniał sobie tabakierkę, którą pokazywał mu Peregrine Percival.

- Jedna nie wystarczyła, więc sprzedała pani następną.

- T... tak. Kiedy brałam pierwszą, Marky nie miał o tym pojęcia. Potem wzięłam następną, potem następną. - Bezradnie machnęła ręką. - Wydawało mi się, że nie są to najlepsze okazy. Myślałam, że nawet jeśli pan się zorientuje, a było to mało prawdopodobne, gdyż nigdy nie przyjeżdżał pan do Heathcliffe, wcale nie będzie ich panu brak.

- A więc brała pani pod uwagę moją osobę w tym niezwykłym, nagannym przedsięwzięciu - rzekł cynicznie.

- Marky powiedział mi, ile te przedmioty znaczyły dla pańskiego ojca. Ponieważ nie interesował się pan Heathcliffe, pomyślałam, że może nie zauważy pan braku przedmiotów, które nie miały dla pana osobistej wartości.

- To zupełnie bezpodstawne przypuszczenie - powiedział sucho.

- Teraz wiem o tym, odkąd pan tu przyjechał i tak bardzo interesował się obrazami. Wtedy jednak myślałam, że nieobecny właściciel jest mniej ważny niż wojna i ludzie, którzy w niej walczą - powiedziała wojowniczo.

Kiedy jej oczy napotkały jego wzrok, spojrzała na niego buńczucznie.

- Proszę mówić dalej. Ciekaw jestem, kiedy dojdziemy do Batemana.

- Bateman był oburzony, że nie ma lokajów. Poza tym nie był zdolny do niczego, bo mając klucze do piwnicy pił do utraty przytomności, a wtedy nie był w stanie nawet się poruszyć.

- Markham powinien mi o tym donieść - powiedział rozgniewany markiz.

- Chciał tak uczynić, ale przekonałam go, by tego nie robił. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Wysyłałam tutaj Traversa, aby zajmował się domem.

- Traversa?

- Tak, przyjechał razem z Charlesem. Został lekko ranny, ale przez sześć miesięcy nie mógł wrócić na statek. Zanim wydobrzał, podpisano traktat pokojowy. Potem był mi bardzo potrzebny.

- Do czego?

- Jak pan wie, zaczęły się masowe zwolnienia marynarzy. W innych częściach wybrzeża było chyba jeszcze gorzej, nie dawałam sobie ze wszystkim rady.

- To znaczy?

- Większość mężczyzn miała domy, do których mogli wrócić lub pojechać do rodzinnych miast, aby ubiegać się o pomoc. Problem w tym, że nie mieli pieniędzy na podróż.

- Czy to znaczy, że dawała im pani na ten cel pieniądze?

- Proszę sobie wyobrazić, co się działo, gdy zeszli na ląd. Czyhali na nich różnego rodzaju naciągacze, oszuści, złodzieje kieszonkowi, żeby pozbawić ich żołądu, który sobie zaoszczędzili. Po dwóch nocach spędzonych na lądzie, zostawali zupełnie bez pieniędzy.

- To na pewno była ich wina.

Gdy spojrzała na niego, nagle ujrzała przed oczami obraz lady Rose po przepitej i spędzonej z nim nocy.

- Proszę mówić dalej - powiedział ostro.

- Travers pomagał mi wybierać ludzi najbardziej wartych naszej pomocy. Dawaliśmy im pieniądze na podróż do domu i na jedzenie podczas drogi. Innych, którzy okazali się naciągaczami, odsyłał z niczym, bo ja nie potrafiłabym tego zrobić.

- A więc Travers jest pani służącym.

- Tak - przyznała. - Kiedy usłyszeliśmy, że pan przyjeżdża, posłałam go szybko do Heathcliffe z czterema ludźmi, którzy najlepiej potrafili udawać lokajów.

Markiz przypomniał sobie niezręcznych służących w źle dopasowanej liberii. Wydawało się, że Travers wykonywał za nich całą pracę.

- Rozumiem, że służył na okręcie pani brata - rzekł po chwili.

- Jako ordynans admirala.

Mogłem się tego domyślić - powiedział w duchu. Głośno zaś rzekł:

- W zasadzie już przed moim przyjazdem zacząłem coś podejrzewać. Jeden z moich gości w Veryan miał tabakierkę ze szmaragdami, którą z pewnością widziałem w kolekcji ojca. Przedstawiała bitwę na morzu.

- Sprzedając ją, obawiałam się, że zmartwi pana jej strata,

- Znowu powinienem podziękować, że mimo wszystko pomyślała pani o mnie. Po moim przyjeździe zastałem prawie pusty sekretarzyk. Zacząłem się wtedy obawiać, że brak wielu okazji.

- Miałam nadzieję, że pan tego nie zauważy, zanim pana nie okradnę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął. - To pani była tym rozbójnikiem.

Kiwnęła twierdząco głową.

- Był to jedyny sposób, aby pomyślał pan, że nie było ich tam w ogóle.

- Więc to wszystko, co pozostało? Myślałem, że przynajmniej część została ukryta w sejfie.

- Tego się spodziewałam. Dlatego kazałam jednemu z moich ludzi wejść przez drzwi prowadzące do spiżarni.

- Rzeczywiście, przewidziała pani wszystko. Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo udało się pani udawać mężczyznę, chociaż mogłem się tego domyślić, kiedy pochwaliła się pani umiejętnością naśladowania głosów.

- To był następny błąd - westchnęła. - Ale wypytywaliście mnie wtedy panowie o stodołę, więc obawiałam się, że będziecie chcieli zobaczyć ją w środku.

- Dlaczego pani tego nie chciała?

- Pozostało jeszcze pięciu mężczyzn, a tej nocy było dodatkowo dziesięciu, których wysłaliśmy następnego dnia do domów w różnych częściach Anglii.

- Udało się pani wszystko zorganizować na wielką skalę i to za moje pieniądze.

- Tak mi... przykro. Zwrócę panu pozostałe tabakierki i oczywiście pański zegarek i złoty statek.

- Właśnie, dlaczego go pani wzięła?

- Doszłam do wniosku, że to będzie dziwne, gdy rozbójnik zostawi tak drogocenną rzecz stojącą na stole. Przysięgam, że nigdy nie miałam zamiaru go sprzedać. Pasuje do Heathcliffe bardziej niż cokolwiek innego.

- To brzmi bardzo przekonująco, pani Wadebridge - powiedział drwiąco. - Ciekaw jestem, czy pozostałoby cokolwiek z mojej własności, gdybym nie wrócił teraz. A obrazy i meble?



- Wiem, że nie ma sensu pana przeproszać. Zdaję sobie sprawę, jak jest pan zdenerwowany, czułam jednak, że postępuję słusznie.

- Słusznie dla kogo?

- Dla Anglii!

- Sądzę, że pani poczucie sprawiedliwości jest nieco zawile. Rzekłbym nawet wypaczone. A może pani odpowiada zabawa we współczesnego Robin Hooda, który zabierał bogatym, by dawać biednym?

Jego pogardliwy ton wywołał w niej falę gniewu.

- Może to dobre porównanie, milordzie. Dokładnie rzecz ujmując, było to zabieranie bardzo bogatemu dla ludzi, którzy gotowi byli umrzeć, aby jego własność nie dostała się w ręce Francuzów.

Pomyślał, że tym razem zdobyła nad nim przewagę.

- Chyba nie sądzi pani, że pochwalę takie metody, nawet jeśli będzie je pani opisywać wzniosłymi słowami.

- Nie mam takiego zamiaru. Chciałabym tylko, by pan zrozumiał, że wszystko zdarzyło się przeze mnie i jest to wyłącznie moja wina.

- Markham jest moim pracownikiem. Powinien być lojalny wobec swego pracodawcy.

- Tylko to się dla pana liczy? Bardzo poważał mojego ojca. Milcząco zgadzał się na przeznaczanie dla marynarzy pieniędzy, które wypłacał pan służbie za to, że nic nie robiła. Przez długi czas nie wiedział, że pana okradam.

- A co się stało, gdy się zorientował?

- Był zaszokowany, bardzo zaszokowany. Widział jednak cierpienie ludzi, którym starałam się pomóc, wiedział, że bez pieniędzy na lekarstwa i żywność mogą dołączyć do tych, którzy... zostali pochowani pod kościołem. Czterech zmarło w zeszłym roku, a trzech dwa lata temu - powiedziała drżącym

głosem. - Staraliśmy się z nianią utrzymać ich przy życiu, ale byli w beznadziejnym stanie, byli bardzo ciężko ranni.

Markiz spojrział na księgę rejestrową.

- To dobra wymówka. Nie podoba mi się jednak zachowanie Markhama w tej sprawie.

- Już panu wyjaśniłam...

- Wiem - przerwał jej. - Przypominam jednak, że Markham pracował jako mój zarządca. Ufałem mu, a on nadużył mego zaufania. Tego nie mogę tolerować.

Dziewczyna krzyknęła cicho i podeszła bliżej biurka.

- Chyba nie zamierza... pan... Nie może go pan... zwolnić.

- Nie widzę innego wyjścia.

- Nie może pan tego zrobić! Mieszka tu od tylu lat. To całe jego życie, Kocha Heathcliffe. Umarłby dla tego domu i pańskiej rodziny.

- Oczekiwałem tylko, by pozostał uczciwy pracując dla mnie.

- Nie może pan być taki okrutny... taki surowy. To by go zabiło. Poza tym... dokąd pójdzie? Nie ma żadnych pieniędzy.

- Rozumiem, że pani je wydała.

- Chciałam go powstrzymać przed taką szczodrobliwością, ale nalegał, często obdarzał ludzi bez mojej wiedzy.

- To jego decyzja. Zrozumiała, że nie okaże miłosierdzia.

- Jak mogłabym pana przebłagać? - spytała. - Co mam powiedzieć, by pan zrozumiał, że Marky nie może odpowiadać za to wszystko? - Błagam... niech mnie pan wysłucha. - Spojrzął na nią, gdy ciągnęła dalej: - Zrobię wszystko, czego pan zażąda. Niech mnie pan ukarze, jak się panu podoba. Może mnie pan nawet wysłać do więzienia... nie będę narzekać. Niech jednak Marky nie cierpi za moje grzechy.

- Pani przewinienia to zupełnie inna sprawa. Jak sama pani powiedziała, należy się pani kara.

Dziewczyna zeszywniała.

- To znaczy więzienie.

- Wie pani dobrze, że za kradzież rzeczy o wartości powyżej jednego szylinga, czeka złodzieja stryczek.

Nie poruszyła się ani nic nie powiedziała. Tylko jej rozszerzone oczy zdawały się wypełniać całą twarz.

- A więc... to mnie czeka? Tego pan chce dla mnie? - wyszeptała po chwili. - Nie usłyszawszy odpowiedzi, powiedziała z dumą: - Nie mam nic na swoją obronę. Chciałabym tylko prosić, żeby po mojej śmierci oczyścił pan Marky'ego z zarzutów i zajął się moją nianią, bo ona również wydała wszystkie swoje oszczędności.

- Niby dlaczego, według pani, powinienem to zrobić? Po tym, jak mnie pani potraktowała?

- Czy dla pana nic nie znaczy, że przyczynił się pan do uratowania życia ponad pięćdziesięciu ludzi, którzy umarliby bez tej pomocy? I że udało nam się nie dopuścić, by inni zeszli na zbrodniczą drogę?

- Broni się pani bardzo przekonująco.

- Już panu powiedziałam, że nie chodzi o mnie - odparła.

- Jeśli uratuje pan Marky'ego, zrobię wszystko, czego pan ode mnie zażąda.

- Wszystko? - spytał krzywiąc ironicznie usta.

- Przysięgam na wszystko, co jest dla mnie najświętsze.

- Dobrze... - zaczął.

Zanim dokończył zdanie, drzwi do pokoju otworzyły się i wbiegł Anthony.

- Uważaj, Justinie - powiedział ostrzegawczo.

Zdumiony markiz ujrzał za nim lady Rose. Miała na sobie jedną z tych muślinowych sukni, które modne damy moczyły, żeby ściśle przylegały do sylwetki. Dzięki temu wyglądały

jakby były prawie nagie. W przeciwieństwie do skapo odzianego ciała, na głowie miała duży kapelusz z odwiniętym rondem i główką ozdobioną różowymi strusimi piórami. Jej szyję i uszy ozdobił turkusowo - diamentowy komplet składający się z naszyjnika i kolczyków. Wyglądała bardzo pięknie. Przez chwilę zatrzymała się w drzwiach, jakby dając markizowi okazję do podziwiania jej, a potem z krzykiem podbiegła ku niemu.

- Najdroższy! Wreszcie cię znalazłam! Jak mogłeś mnie zostawić w taki okrutny sposób? Myślałam, że oszaleję ze strachu, co się z tobą stało, a potem...

- Powiedziałem jej, gdzie się ukryłeś - usłyszeli męski głos. Do pokoju wszedł książę Walii.

Wyraźnie dopisywał mu humor. Ivana, która nigdy go nie widziała, patrzyła z nie ukrywanym zainteresowaniem na jego roześmiane oczy i pełne wargi. Był wysoki, ale zbyt otyły. Uwagę zwracał jego podbródek wylewający się z ułożonego w fałdy wielkiego białego krawata. Nienaganna elegancja i postawa wyróżniały go w największym tłumie i bez trudu można było poznać, że płynie w nim błękitna krew. Markiz, który odruchowo wstał na dźwięk głosu lady Rose, ruszył szybko ku swemu gościowi. Ukłonił się i uścisnął rękę księcia.

- Zrobiłeś mi wielką niespodziankę, sir.

- Tego się spodziewałem - zachichotał książę. - Kiedy Rose zaczęła wypłakiwać się na moim ramieniu, że nie może cię znaleźć, domyśliłem się, gdzie się ukryłeś.

- I zgadłeś, sir.

- Och, Justinie, wyznałam jego wysokości nasz mały sekret.

Markiz zeszywniał.

- Sekret? - powtórzył.

- Ależ tak, najmilszy. Wiem, że chciałeś to powiedzieć osobiście, ale wyniknęło mi się to niechcący, gdy czułam się taka nieszczęśliwa.

- Muszę ci pogratulować, mój drogi. Z całego serca. Będiesz miał najpiękniejszą kobietę w Anglii, tak jak dotychczas miałeś najlepsze konie.

Przez chwilę markiz czuł się jak ogłuszony. Zrozumiał, że zrobiono z niego głupca. Poczul wzbierającą złość. Rose wygrała! Dostała to, co chciała, a on nie mógł nic na to poradzić. Został osaczony, złapany w sidła, zdobyty przez kobietę, która okazała się sprytniejsza od niego. Niespodziewany szelest za plecami przypomniał mu o Ivaniu.

Zobaczył jak cofa się w kierunku drzwi do ogrodu, mając zamiar opuścić pokój tak samo, jak tu weszła. Nagle wpadł na pomysł, który poddały mu jej ostatnie słowa, że uczyni dla niego wszystko, czego od niej zażąda. Z triumfem w głosie powiedział:

- Jedną chwilę. Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka, choć nie wiem, jak do niej doszło.

- Pomyłka? - spytała lady Rose.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Domyślił się, że jej wylewne zachowanie było zaplanowane, żeby schwytać go w pułapkę, z której nie ma ucieczki.

- Tak - odparł podchodząc do Ivany. Wziął ją za rękę i podprowadził do księcia.

- Sir, chciałem przedstawić moją żonę, córkę kapitana Wadebridge'a, który padł bohaterską śmiercią w czasie bitwy na Nilu.

Zacisnął palce na rękę dziewczyny, dając jej do zrozumienia o co prosi. Przez chwilę wydawało się, że nikt nie jest zdolny poruszyć się.

- Zawsze uda ci się mnie zaskoczyć, Justinie. To mi się w tobie podoba. Nigdy bym się nie domyślił ani spodziewał, że

ukryjesz przede mną swój ślub. Ale oczywiście, gratuluję ci. Życzę twojej wybrance wszystkiego najlepszego. - Wziął ją za rękę i przyjrzał się, gdy składała ukłon. - Rozumiem, dlaczego markiz chciał powierzyć pani swoje serce.

Potem z wdziękiem uniósł jej rękę do swych ust. Lady Rose jakby otrząsnęła się z apatii.

- Nie wierzę w to! To niemożliwe - powiedziała do markiza. - Jak mogłeś ożenić się tak szybko, żeby nikt o tym nie wiedział?

- Był ze mną mój najlepszy przyjaciel - rzekł z uśmiechem wskazując na Anthony'ego.

Rose badawczo spojrzała na rękę Ivany. Zobaczywszy obrączkę, westchnęła głośno.

- Nigdy ci tego nie daruję, Justinie. Nigdy! Jeszcze się z tobą policzę!

Anthony zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji musi coś zrobić. Podeszedł do niej.

- Wyjdźmy do ogrodu, Rose. Chcę z tobą porozmawiać.

Stanowczym ruchem skierował ją do drzwi. Poszła za nim niechętnie. Słyszeli jej poirytowany głos, kiedy Anthony prowadził ją przez trawnik.

- Czy napije się pan czegoś, sir? - spytał markiz.

- Po tych dramatycznych wydarzeniach dobrze zrobiłby mi kieliszek szampana. Z tobą, Justinie, nigdy nie jest monotannie.

Zanim markiz zadzwonił na służącego, Travers pojawił się z tacą pełną kieliszków i różnych napojów, jakby domyślając się, że będzie potrzebny. Rozweselony książę usiadł na sofie, nalegając, aby Ivana zajęła miejsce obok niego.

- Proszę opowiedzieć mi o sobie, moja droga. Na pewno pani Fitzherbert będzie chciała wiedzieć wszystko o pani małżeństwie z jednym z moich najlepszych przyjaciół.

- To wielki zaszczyt spotkać waszą wysokość. Trudno mi skupić myśli na czymś innym.

Słuchał zadowolony. Uwielbiał, gdy schlebiali mu piękne kobiety.

- Nie spotkaliśmy się dotąd - stwierdził. - Na pewno bym panią zapamiętał.

- Za to ja dużo słyszałam o waszej wysokości. Mieszkam niedaleko Brighton. Wiem, ile księżę zrobił, by uczynić to miasto wytwornym. Wszyscy mówią o zachwycającym Pawilonie Królewskim.

- Nikt nie jest z niego bardziej zadowolony niż ja. Niech Justin przywiezie panią, kiedy tylko skończy się wasz miesiąc miodowy.

- Dziękuję, sir. Sądzę jednak, że poczekamy aż Rose wyjedzie z Brighton - powiedział markiz.

Księżę odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jest zaskoczona tym, co zrobiłeś. To moja wina, że powiedziałem jej, gdzie możesz się ukrywać. - Zachichotał. - Prawdę powiedziawszy, Justinie, dopiero gdy okazałem się na tyle niedyskretny, by wyjawić jej, gdzie znajduje się twój dom, przyszło mi do głowy, że jedyną osobą, której nie chciałbyś tu widzieć, jest lady Rose Caterham.

- Bardzo jesteś domyślny, sir - zauważył cierpko markiz.

- Przekonała mnie, że się zaręczyliście - ciągnął dalej księżę, jakby chcąc się usprawiedliwić. - Nie bardzo mi się teraz uśmiecha droga powrotna w jej towarzystwie.

- Przykro mi, gdyby to było możliwe zwierzyłbym ci się, sir.

- Taką mam nadzieję.

- Ufam, sir, że dzięki twemu taktowi i zdolnościom dyplomatycznym, które są niezrównane, będziesz potrafił załagodzić sytuację. Przysięgam, że nigdy nie miałem zamiaru poślubić lady Rose.

Książę zawsze lubił być dopuszczany do tajemnic, zwłaszcza przez ludzi dyskretnych, do jakich zaliczał markiza.

- Zostaw to mnie, mój drogi. Zrobię to dla ciebie.

- Wiedziałem, że mogę na księcia liczyć - powiedział markiz tonem tak szczerym, że niechybnie rozśmieszyłyby Anthony'ego, gdyby go słyszał.

Książę wypił jeszcze jeden kieliszek szampana, po czym wstał z miejsca.

- Muszę już wracać. Czeka na mnie pani Fitzherbert. Jak wiesz, w moim faetonie jest miejsce tylko dla dwóch osób.

Przy tuszy księcia było to zrozumiałe. Markiz ucieszony, że pozbedzie się ich towarzystwa, pobiegł na taras, dając znak Anthony'emu wysłuchującemu długiego monologu rozzłoszczonej lady Rose. Szybko wrócili oboje. Kobieta bez słowa przeszła obok markiza z wysoko uniesioną głową. Dołączyli do księcia, który w towarzystwie Ivany podziwiał w bibliotece obrazy marynistyczne.

- Twoja żona opowiedziała mi o bitwach, w których brali udział jej przodkowie. To bardzo interesujące. Z chęcią pokażę jej trofea morskie znajdujące się w Pawilonie Królewskim.

- To dla nas wielki zaszczyt, sir - powiedział markiz.

- Mam nadzieję, że zaprosisz mnie do siebie. Mógłbym przyjechać tutaj z panią Fitzherbert w przyszłym tygodniu albo najdalej za dwa tygodnie.

- Z radością będę gościł waszą wysokość. Książę wyciągnął rękę do Ivany.

- Życzę pani wiele szczęścia, moja droga. Bez wątpienia jest pani najpiękniejszą markizą Veryan. Mąż musi wybrać najlepszego artystę, który namalowałby pani portret, godny powieszenia wśród jego przodków.

Pocałował dziewczynę w rękę.



- Właśnie miałem zamiar przy okazji poprosić waszą wysokość o radę w tej sprawie - powiedział markiz.

Lady Rose wyszła z pokoju. Księżę podążył za nią w towarzystwie gospodarza, dyskutując z nim o zaletach różnych malarzy. Anthony zatrzymał się na chwilę, by szepnąć Iwanie: „Dobra robota” i pospieszył za gośćmi do holu.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła za nimi, potem zakryła twarz dłońmi. To niewiarygodne, żeby w tak krótkim czasie tyle się zdarzyło. W słusznej sprawie stawiała czoło markizowi, on straszył ją szubienicą za kradzież jego mienia, a po przyjeździe jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziała, uratowała go od niepożądanych zaręczyn. Wydawało jej się nieprawdopodobne, żeby mężczyzna nie chciał poślubić kobiety tak pięknej jak lady Rose. Zauważyła co prawda mściwą złość, z jaką ta dama zwracała się do markiza, a później zignorowała go przy wyjściu z pokoju. Wyplątał się z niewygodnej dla siebie sytuacji dzięki kłamstwu. Zastanowiła się, co zrobi, gdy będzie musiał postarać się o żonę, która nie istnieje. Pomyślała, że powinna wrócić teraz do Flagstaff House.

Nadal rozpaczliwie bała się, że Markham zostanie zwolniony, tak jak zapowiedział markiz. Przekonywała siebie, że może być rozwścieczony na nią, ale udało jej się obronić Marky'ego. Wierzyła, że w okolicznościach, w jakich teraz się znaleźli, nie zwolni zarządcy bez uprzedniej rozmowy z nią.

- Nie mam zamiaru znów się o to kłócić.

Usłyszawszy zbliżające się głoś, pobiegła ku stajniom, gdzie po przyjeździe do Heathcliffe zostawiła swoją dwukólkę.

Markiz nie zdziwił się, że Ivana zniknęła. Spodziewał się tego. Podeszedł do stolika i nalał sobie kieliszek szampana. Wkrótce po nim przyszedł Anthony.

- O co tu, do licha, chodzi? Domyślam się, że uratowałeś swoją skórę dzięki Ivanie, ale skąd ona się tu wzięła?

- Przyjechała, żeby mi wyjaśnić, co się tutaj działo - powiedział z satysfakcją w głosie markiz. - Teraz znam już całą historię. To co najmniej melodramat w stylu Drury Lane.

Anthony nalał sobie szampana.

- Gdybyś słyszał, co mówiła Rose, zacząłbyś unikać wszystkich ciemnych miejsc, w których groziłby ci cios sztyletem w plecy.

- Myślałem, że sprytnie wywinąłem się z zastawionej przez nią pułapki. Przez chwilę miałem wrażenie, że już po mnie.

- Ja również. Ale co na to Ivana? Na pewno dla niej to duże zaskoczenie.

- Przyrzekła, że zrobi wszystko, o co ją poproszę, by uratować Markhama przed zwolnieniem.

- Czyżbyś sugerował, że jestem ci winien pięćdziesiąt gwinei?

- Tak. To ona była rozbójnikiem. Tabakierki zaczęła kraść jeszcze przed naszym przyjazdem. Sprzyjała nam tylko po to, by wybawić Markhama od następstw współdziałania z nią.

- Nic z tego nie rozumiem. Lepiej zacznij wszystko od początku.

Markiz usiadł z kieliszkiem w ręce i dokładnie powtórzył przyjacielowi to, co opowiedziała mu Ivana.

- To najlepsza i najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem w życiu. Powinna dostać za to medal. To by pokazało rządowi w jak haniebny sposób traktowani są inwalidzi wojenni.

- Wszystko w porządku, ale to ja zapłaciłem za całą tę szcudrośliwość.

- Możesz sobie na to pozwolić. Wielkie nieba! Co za kobieta! Czy możesz sobie wyobrazić, żeby Rose lub Lucy

albo jedna z tych frywolnych idiotek, które znamy, niosła pomoc zebrzącym na schodach ich domów albo krwawiącym od postrzału? Zaśmiał się, dodając: - Histeryzują jak ukłują się w palec. Mam nadzieję, Justinie, że powiedziałaś jej, jak bardzo ją podziwiasz za to, co zrobiła.

- Poinformowałem ją, że zastanawiam się, czy nie doprowadzić do tego, aby ją powieszono.

- Coś ty powiedział? - wykrzyknął Anthony. - Na pewno żartujesz!

- Nie. To właśnie powiedziałem.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli się trochę przestraszy konsekwencji swojego działania.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, iż pozwoliłeś jej odjechać z myślą, że chciałbyś, aby zawisała na stryczku lub została zabrana do Tyburn Hill?

- Jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy.

- Im szybciej pojedziesz do Flagstaff House, tym lepiej.

- Chwileczkę! Za szybko chcesz działać. Obydwaj wyszliśmy na głupców przez kobiety, zwłaszcza przez nią. Czy to dla ciebie nie ma żadnego znaczenia?

- Nie jest to historia, którą będę się chwalił przed księciem lub w klubie. Mogę tylko powiedzieć, że ten Wadebridge to szczęściarz, taka żona trafia się jedna na milion.

Zapadła cisza.

- A właśnie, Wadebridge - powiedział markiz. - Zupełnie o nim zapomniałem.

## Rozdział 6

Do pokoju wszedł Travers z gazetami. Położył je na stoliku obok kominka. Anthony szybko wziął do ręki Timesa. Gdy Travers wyszedł, markiz powiedział:

- Muszę z nim o czymś porozmawiać - i pospieszył za nim do holu. - Kiedy pani Wadebridge była tutaj niedawno, chciała się z tobą zobaczyć w związku z pewnymi kłopotami. O co chodziło?

- Miałem zamiar poprosić pana, milordzie, by pozwolił mi pojechać na chwilę do Flagstaff House. Sądzę, że coś się tam szykuje.

- Jakież problemy?

- Pani Wadebridge powiedziała mi, że niania widziała mężczyznę ukrytego w krzakach i obserwującego dom.

- Po co miałyby to robić?

- Od kiedy zdemobilizowano tylu ludzi, kręci się tu dużo różnych szumowin. Niania pomyślała, że może chce ich obrabować. Markiz zmarszczył brwi.

- Ja to załatwię - powiedział po chwili. - I tak muszę pomówić z panią Wadebridge.

Miał zamiar wrócić do biblioteki i powiedzieć Anthony'emu, gdzie się wybiera, ale stwierdził, że przyjaciel będzie chwalił Iwanę za jej uczynki, podczas gdy on wolał okazać jej dezaprobatę. Przez frontowe drzwi zobaczył dwóch stajennych z końmi, które kazał przygotować wcześniej, ale zapomniał o nich po przyjeździe księcia. Wychodząc rzucił przez ramię Traversowi:

- Powiedz sir Anthony'emu, że niedługo wrócę.

Wskoczył na siodło i pogalopował w kierunku Flagstaff House. To był nagły wstrząs. Przedstawiając Iwanę jako swoją żonę, wpakował się z deszczu pod rynnę. Dobrze wiedział, że o jego małżeństwie w ciągu kilku godzin dowie się całe Brighton.

Książę Walii zawsze chciał być w centrum zainteresowania przy takich wydarzeniach, a co mogło być bardziej sensacyjnego niż potajemny ślub jego przyjaciela i jednocześnie ważnej osobistości w wielkim świecie, z kobietą, o której nikt nie słyszał?

Z pewnością książę będzie wysławiał urodę Ivany, chociażby po to, by dokuczyć lady Rose, a na pewno znajdzie się dość kobiet z zadowoleniem słuchających o jej porażce. Zabierając swoim rywalkom najbardziej atrakcyjnych mężczyzn, narobiła sobie dużo wrogów. Musiał przyznać, że pozbywając się jej, popadł w jeszcze gorsze kłopoty. Po raz pierwszy zastanawiał się, jak to przyjęła Ivana. Doszedł do wniosku, że winien jest jej przeprosiny, nawet jeśli potraktowała jego zachowanie jako nauczkę za oszukanie go.

Co mam robić? - zastanawiał się poganiając konia, jakby w galopie próbował uciec od swych problemów. Dojechał do Flagstaff House nie znalazłszy żadnego rozwiązania. Co więcej, dręczące go problemy wydawały się jeszcze gorsze niż na początku.

Chodziło nie tylko o niego i Ivanę, ale również o jej męża. Po powrocie może być zdziwiony, że mówi się o jego żonie jak o kobiecie poślubionej innemu mężczyźnie. Czuł w głowie kłębiące się pytania, na które nie znał odpowiedzi. Kiedy zsiadł z konia przed domem, pomyślał, że najrozsądniej będzie spokojnie omówić ten problem z Ivaną. Może ona znajdzie jakieś wyjście z sytuacji.

Tym razem nikt na niego nie czekał, więc przywiązał swego konia do drzewa, mając nadzieję, że się nie zapłacze. Zwierzę opuściło łeb i zaczęło skubać trawę. Markiz podszedł do frontowych drzwi i bez pukania wszedł do środka. Wydawało się, że dom jest pusty. Meble i schody błyszcząły bardziej niż poprzednio. Zapach wosku mieszał się z aromatem kwiatów umieszczonych w wazonach stojących w

holu. Oprócz zdolności do nadzwyczajnych czynów, Ivana miała talent do upiększania swego domu. Usłyszał głosy dobiegające z dawnego gabinetu jej ojca. Otworzył drzwi i znieruchomiał na widok tego, co zobaczył. Za biurkiem stała Ivana, a naprzeciwko olbrzymi, niezbyt przyjemnie wyglądający mężczyzna w podartym mundurze, z wymierzonym w nią nożem.

Ivana wracała do domu powozem ciągniętym przez grubego powolnego konika, zbyt starego, by mogła go popędzać. Czuła się jak w koszmarnym śnie, z którego nie potrafiła się obudzić. Wszystko wydawało się nierealne. Groźby markiza dotyczące oddania jej pod sąd i powieszenia za ograbianie go oraz zwolnienie Markey'ego po trzydziestu pięciu latach służby u Veryanów.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobne było przedstawienie jej księciu Walii jako żony. A ona nie mogła zaprzeczyć temu absurdalnemu oświadczeniu.

- Co teraz będzie? Jak wyjaśnić to, co powiedział markiz, jeśli przekonał nawet księcia?

To dziwne, że nie chciał poślubić pięknej lady Rose. Gdy zaprzeczył jej zapewnieniom o zaręczynach i przedstawił Iwanę jako swoją żonę, dziewczynie wydało się to tak fantastyczne, że nie była pewna, czy wydarzyło się naprawdę. Jeśli w taki sposób zachowywały się osoby z towarzystwa, nie miała ochoty być jedną z nich. Została w to wszystko wplątana i markiz wcześniej czy później będzie musiał odwołać swoje oświadczenie. Ciekawe, co wymyśli, by się jej pozbyć. Pomyślała, że jest tak mało ważna, iż może po prostu zniknąć i nie trzeba będzie niczego tłumaczyć.

- Na przykład utonąć w morzu albo umrzeć na jakąś nieznaną chorobę. Nie musiałby nawet nosić po mnie żałoby - powiedziała do siebie.

Mogła przynajmniej wyświadczyć mu przysługę. Może w ten sposób skłoni go do okazania miłosierdzia wobec Marky'ego, a i dla niej okaże się łaskawszy niż przed przybyciem lady Rose.

Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się szczęśliwie - pomyślała pragnąc się podnieść na duchu. Wiedziała jednak, że był bardzo zły. Chociaż starał się pohamować, przemawiał sarkastycznym, pogardliwym tonem i jego słowa raniły boleśnie.

- Jak mogłam być taka głupia, żeby okraść kogoś tak przerażającego jak on?

Przypomniała sobie jednak, że nie miała innego wyjścia. Mogła tylko ukraść tabakierkę albo pozwolić umrzeć ludziom, których ratowała dzięki pieniądзом na jedzenie i leczenie. - Nie byłyśmy rozrzutne - myślała żałośnie. - Oszczędzałyśmy i odmawiałyśmy sobie wielu rzeczy, ale mężczyźni muszą dużo jeść, inne rzeczy również okazały się drogie. Pomyślała o pieniądzach na podróż. Jeden z marynarzy pochodził z Northumberland, inny z Kornwalii, i chociaż podróżowali bardzo tanio, zajmując miejsca na dyliżansie, a nie w środku, każdy z nich potrzebował kilka gwinei, by dojechać do celu.

Po kobiecemu zdawała sobie sprawę, jak bardzo różni się od lady Rose. Jej niemodna suknia nie mogła się równać z cienkim muślinem, który ledwo zakrywał ciało tej damy. Tak samo kapelusz z wysokim rondem różnił się od tych, które nosiły damy widziane przez nią ostatnio w Brighton. O kosztownych turkusach i diamentach błyszczących w świetle wpadającym do biblioteki przez okna, nie warto było nawet myśleć. Nie czuła zazdrości, ledwo zdawała sobie sprawę z różnic pomiędzy nią a kobietą z wielkiego modnego świata, do którego należał markiz.

- Jak ktokolwiek mógł chociaż przez chwilę uwierzyć, że jestem jego żoną?

Zastanawiała się, co markiz obiecał lady Rose, że była pewna poślubienia go. Czy ją pocałował? Na pewno robił to z właściwą sobie elegancją i doświadczeniem. Pamiętała jak dosiadał konia albo powoził faetonem.

- To najprzystojniejszy mężczyzna jakiego można sobie wyobrazić - szepnęła.

Rozumiała dlaczego lady Rose chciała go poślubić i jakim wstrząsem była dla niej wiadomość, że wybrał nie ją, lecz „prowincjonalną gęś”, - Może któregoś dnia zakocham się w kimś podobnym do niego - pomyślała starając się zmusić opieszalego konia do szybszej jazdy. Wiedziała jednak, że nikt nie będzie dorównywał markizowi.

Zawsze sobie wyobrażała, że wymarzony mężczyzna, który pewnego dnia zostanie jej mężem, będzie na wzór jasnowłosych bohaterów książek, które czytała, nosił mundur marynarski i zajmował się sprawami morza. Tymczasem on nosił wysoki cylinder, szary wełniany żakiet w prążki albo leżący na nim bez zarzutu elegancki strój wieczorowy. Zadrżała przypomniawszy sobie jego gniewny głos i zimne stalowe spojrzenie.

- Nigdy mi nie przebaczy ani kradzieży, ani wciągania służby w to przestępstwo.

Podjechała prosto pod stajnię, a ponieważ nie było nikogo, kto by jej pomógł, sama wyprzęgła konika, zaprowadziła go do boksu i sprawdziła, czy ma przygotowane siano. Potem poszła do domu.

Było bardzo ciepło. Na pewno niania odpoczywała po oporządzeniu chorych i przygotowaniu im jedzenia. Robiła się coraz starsza i ciężka praca szybko ją męczyła. Dawała sobie radę dzięki temu, że wyleczeni mężczyźni pomagali w domu i w ogrodzie. Po nabraniu sił pracowali do chwili wyjazdu. Słusznie domyślał się markiz, że porządek w ogrodzie utrzymywali marynarze. Chcieli się im odwdzięczyć za to, co



dla nich uczyniły. Pracowali nawet ułomni, polerując schody, czyszcząc mosiądz i pomagając niani w kuchni przy obieraniu ziemniaków lub łuskaniu grochu.

Zostało jeszcze pięciu rannych mężczyzn, którym Ivana stanowczo kazała siedzieć w stodole, aż niebezpieczeństwo minie i będą mogli wyjść na podwórze. Nie wiedziała, że markiz odkrył jej sekret. Obawiała się też, że sir Anthony może odwiedzić ją niespodziewanie i zobaczyć ich w ogrodzie.

Przystanąła na moment w holu, by poprawić włosy przed lustrem. Na pewno markiz dziwił się, że nie nosi kapelusza. Nie spodziewała się go zobaczyć, gdy wybierała się do Heathcliffe. Była pewna, że wybrali się na przejażdżkę z sir Anthonym. Zachowując wielkie środki ostrożności poszła odwiedzić Traversa. Kiedy jeden z lokajów przywołał go, domyśliła się, że coś się stało.

- O co chodzi? - spytała.

- Jego wysokość zabrał księgę rachunkową z biura do biblioteki i posłał po pana Markhama.

Westchnęła domyślając się, co teraz nastąpi.

- Na pewno w bibliotece są otwarte drzwi do ogrodu. Pójdę tarasem i spróbuję posłuchać o czym będą rozmawiać. - To był dobry pomysł - pomyślała teraz. - Inaczej markiz zastraszyłby biednego Marky'ego.

Zdenerwowana samą myślą o tym, otworzyła drzwi do gabinetu i weszła szeleszcząc falbanami niemodnej sukni. Znalazszy się w środku krzyknęła. Drzwi zamknęły się i zobaczyła stojącego za nimi mężczyznę.

Jedno spojrzenie na jego podarty, wiszący w strzępach mundur wystarczyło, żeby poznać marynarza wydalonego z marynarki. Było coś w jego wyglądzie, co nastawiło ją do niego niechętnie już od pierwszej chwili. Nie chodziło o brud i nie ogoloną twarz. Wyraz jego oczu utwierdził ją w

przekonaniu, że nie należy do mężczyzn, którzy pogodzili się ze stratą pracy.

- Co pan tutaj robi?

- Drzwi były otwarte - odparł niemiłym głosem.

- Gdyby pan zapukał, na pewno ktoś by otworzył.

- To zamknij je jeszcze raz. Ivana usiadła za biurkiem.

- Dowiedział się pan, że próbuję pomagać marynarzom zwolnionym ze służby na rozbrojonych statkach. Muszę jednak pana uprzedzić, że nie możemy pomóc wszystkim.

Pomyślała, że ten człowiek wcale nie słyszał o jej działalności, tylko zaczął się, żeby dostać się do domu i wykraść drogocenne przedmioty. Nic nie dała po sobie poznać, mówiąc dalej:

- Jak pan się nazywa?

- Bo co?

- Pragnę panu pomóc, więc muszę znać jakieś szczegóły. Niekiedy mogę pomóc w powrocie do domu, może powiedziała by pan, gdzie mieszka.

- Gdzie mi się podoba - odpowiedział mężczyzna podchodząc do biurka. - Chce tylko pieniędzy, które tu są i wszystkim biżuterie.

- Niestety, muszę pana rozczarować. Nie mam biżuterii i bardzo mało pieniędzy. Jak już powiedziałam, pomagam marynarzom powrócić do domu albo dojechać tam, gdzie mogliby znaleźć pracę.

- Dostyc mam harówki - powiedział ostro. - Dawaj forszę i przestań tak gadać.

Wyciągnął zza paska nóż i zamierzył się nim na Ivanę.

- Źle pan robi - powiedziała spokojnie, chociaż serce mocno jej biło. - Przebywa tu kilku marynarzy. Jak tylko zawołam, zaraz któryś przybiegnie mi na ratunek.

- Cicho! Niezła z ciebie ślicznotka. - Odruchowo zerwała się na nogi. Mężczyzna zaśmiał się nieprzyjemnie. - Jak chcesz uciekać, dogonie cie. Jestem prendki i mam ostry nóż.

Serce dziewczyny biło coraz szybciej, poczuła suchość w ustach. Była przestraszona, bardzo przestraszona. Przypomniała sobie, że tabakierki, które zabrała markizowi, znajdują się w środkowej szufladzie biurka wraz z kilkoma suwerenami pozostałymi z ostatniej sprzedaży, przed miesiącem. Kiedy zdecydowała, że musi sprzedać następną, niespodziewanie przyjechał markiz. Zaczęła zastanawiać się, co począć.

Jeśli otworzy szufladę, żeby dać napastnikowi pieniądze, ten zobaczy, co jeszcze się tam znajduje. Zdenerwowany, że dziewczyna ukrywa przed nim kosztowności, stanie się jeszcze bardziej agresywny.

- Lepiej się pośpiesz dla swego dobra - powiedział. - Ten majcher przetnie twojom skóre jak masło. No, prendzej.

Ivana pomyślała, że nie musi być mu posłuszna, gdy nagle usłyszała czyjeś kroki, drzwi otworzyły się i stanął w nich markiz. Przez chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Markiz od razu zorientował się w sytuacji, uniósł długi stalowy bicz i z całej siły uderzył mężczyznę w rękę, w której trzymał nóż. Złodziej wrzasnął, nóż z hałasem upadł na podłogę. Markiz ponownie uderzył napastnika, tym razem ciosem w podbródek. Mężczyzna zachwiał się i nieprzytomny runął na ziemię.

Uśmiechnięty zwycięzca stanął nad nim. Ivana przebiegła przez pokój i ukryła się w jego objęciach.

- Dzięki... Bogu! Przyjechał pan! Tak się bałam... jedyne pieniądze, jakie miałam były w szufladzie razem z pańskimi tabakierkami - mówiła chaotycznie.

Przytulił do siebie jej drżące ciało. Poczłł jaka jest delikatna i krucha.

- Naprawdę martwiła się pani o tabakierki, podczas gdy ten gbur groził pani nożem?

- Schował się... za drzwiami - wyjaśniła. Widział, że jeszcze jest przestraszona.

- Już po wszystkim - powiedział. - Ma pani szczęście, że to się zdarzyło dopiero teraz.

- Nigdy nie obawiałam się rannych... Miałam do pomocy Traversa.

- Rozumiem, że powinienem przeprosić za to, że zabrałem go pani - powiedział rozbawiony markiz.

Nagle, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, co zrobiła, wyswobodziła się z jego ramion.

- Co teraz będzie z tym... człowiekiem?

- Czy jest tu ktoś, kto mógłby mi pomóc?

- Może George - odparła. - Jest bardzo silny, chociaż... stracił nogę.

- Więc poszukajmy George'a. Domyślam się, że jest w stodole?

Dziewczyna kiwnęła głową. Domyślał się, że jeszcze trudno jest jej mówić. Wiedząc, że nie będzie chciała zostać sama, wyciągnął do niej rękę:

- Chodźmy poszukać go razem.

Błada i drżąca po ostatnich wydarzeniach, przyjęła ją z wdzięcznością. Czując w dłoni jej drobne drżące palce, wiedział, że zniknęła agresywna kobieta, która okradła go w przebraniu rozbójnika i oszukiwała przy wypłatach dla służby. Była prawie dzieckiem, wystraszoną brutalną siłą napastnika i nożem, który łatwo mógł ją pozbawić życia. Przyrzekł sobie, że nigdy do tego nie dopuści.

Razem przeszli przez podwórze i doszli do stodoły. Zdecydował, że musi przysłać Traversa, aby zajął się Flagstaff House. Potem pomyślał, że bandzior mógł narobić kłopotów nie tylko tutaj, ale również w sąsiedztwie. Doszedł do

wniosku, że decyzja rządu, która doprowadziła do zwolnień tak dużej liczby ludzi, pozostawiając ich bez pracy i pieniędzy, może mieć poważne następstwa.

Dziewczyna otworzyła drzwi stodoły. Rozejrzał się po wnętrzu, służącym kiedyś do przechowywania ziarna, a podczas dożynek do urządzania uroczystych obiadów dla pracowników, którzy oczekiwali ich z niecierpliwością co roku. Teraz na podłodze leżały materace, przygotowane na przyjęcie dodatkowych ludzi, a kilka stóp nad głową wisiały hamaki przywiązane do krzyżujących się pod sufitem belek. W drugiej części stodoły leżało na materacach trzech mężczyzn, rozmawiając z dwoma siedzącymi na krzesłach. Każdy z nich nosił bandaż. Gdy zobaczyli Ivanę z towarzyszącym jej gościem, ich twarze rozjaśniły uśmiechy.

- To markiz Veryan - powiedziała. - Właśnie pobił do nieprzytomności bardzo nieprzyjemnego mężczyznę, który groził mi nożem.

- Panience? - spytał jeden z marynarzy.

- Chciał ukraść pieniądze, które mam w domu.

- Trzeba było nas zawołać - powiedział inny. - Dalibyśmy sobie radę z tym łobuzem.

- Chcę byście teraz pomogli mi uporać się z nim - rzekł markiz. - Nie mam ochoty oddawać go pod sąd, ale trzeba się go jakoś pozbyć. Najlepiej będzie, jeśli wyrzucimy go za bramę i zostawimy na drodze.

Wstał jednonogi George.

- Dam se radę - powiedział. - Pomoże mi Tim. Ma tylko jedno zdrowe ramie, ale warte dwu.

Tim uśmiechnął się nieśmiało słysząc tę pochwałę i również wstał.

- Chodźmy - rzekł markiz. - Wyrzucimy go, zanim się ocknie i zacznie awanturować. - Uśmiechnął się patrząc na

Ivanę i powiedział: - Proszę poczekać pięć minut. Ci dżentelmeni zaopiekują się panią w tym czasie.

Wyszedł z George'em i Timem. Ivana patrzyła jak zamykają się za nimi drzwi stodoły. Po pięciu minutach obydwaj marynarze wrócili zaczerwieniem i zgrzani, ale wyraźnie zadowoleni z siebie.

- Wyrzuciliśmy go kawałek drogi, panienko - powiedział George. - Prosto do rowu. Uważam, że to dobre miejsce dla niego.

- Czy nadal nie odzyskał przytomności?

- Leży jak kłoda. Nie będzie się mógł doliczyć zębów, jak się obudzi.

Inni chcieli się dowiedzieć, co dokładnie się stało, jak doszło do tego, że markiz go uderzył, ale Ivana wyszła ze stodoły. Jak się spodziewała, markiz czekał na nią w salonie. Kiedy tam weszła i spojrzała na niego, przez chwilę poczuła jakby porozumiewali się bez słów.

- Jak mam dziękować panu? Gdyby nie pan... - powiedziała zawstydzona.

- Proszę o tym zapomnieć. Nie można dopuścić, by to się jeszcze raz powtórzyło. Myślałem, co należy zrobić.

- Nie może pan zrezygnować z Traversa. Lokaje, których z nim wysłałam, nie mają żadnego doświadczenia, nie chcę pana narażać na niewygodę.

- Moja wygoda nie jest tak ważna, jak pani bezpieczeństwo, pani Wadebridge.

Ivana zawahała się.

- Nie musi pan się mną przejmować. Wiem, uważa pan, że to moja wina. Po śmierci papy... nie powinnam zostawać tu tylko z nianią. Nic jednak na to nie poradzę... nie wytrzymałabym życia z krewnymi... z dala od domu.

- Rozumiem panią. Czy nie zapomina pani o kimś, kto powinien zająć się panią i podjąć jakąś decyzję?

- O kim? - spytała zaskoczona.

- O pani mężu.

Zamrugła, a blade policzki pokryły się rumieńcami.

- Tak... oczywiście - powiedziała po chwili. - Tylko że mój mąż jest... na morzu.

Markiz usiadł na krześle stojącym obok kominka.

- Bardzo mnie to interesuje - rzekł. - Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Ależ... nie ma o czym.

- Kiedy się pobraliście?

- Dwa lata temu.

- Gdzie?

- Tutaj, w wiosce.

- Na pewno? Przecież łatwo sprawdzić zapis uroczystości w rejestrze kościelnym.

- Dlaczego to pana interesuje? - spytała po chwili Ivana.

- Interesuje mnie to bardzo, ponieważ odkąd się znamy, zachowuje się pani w sposób trudny do przewidzenia. Przyjeżdżając do Heathcliffe spodziewałem się spokoju i ciszy. - Nie odpowiedziała, a on roześmiał się. - Niestety, nie dane mi było ich zaznać! Po pierwsze dlatego, że zostałem okradziony przez rozbójnika, po drugie odkryłem, że to moja najbliższa sąsiadka, a po trzecie musiałem wyratować ją z sytuacji, która mogła zakończyć się tragicznie, gdybym nie przybył w porę.

- Pragnę panu... podziękować. Domyślam się, że przez to mój dług wobec pana jeszcze się powiększył.

- Rozważam to. Nie zapominał jednak, że wyratowała mnie pani z bardzo niewygodnej sytuacji.

- Wracając do domu, zastanawiałam się jak mógłby pan pozbyć się swej... nowo poślubionej żony.

- Ja również o tym myślałem.

- Może pan wytłumaczyć, że utonąłam w czasie kąpieli morskiej albo wyjechałam do Indii Zachodnich, by odwiedzić brata.

- To dwie możliwości - zgodził się markiz. - Zapomniała pani o trzeciej.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Jakiej?

- Pani mąż może mieć pretensje, słysząc o ślubie z innym mężczyzną. - Jej twarz znów pokryła się rumieńcem. Podeszła do okna i usiadła, spoglądając przed siebie nie widzącym wzrokiem. - Czy bardzo go pani kocha? - spytał nagle.

- Tak... oczywiście.

- Chociaż tyle czasu jest poza domem?

- To nieuniknione, jeśli mężczyzna jest marynarzem.

- Może to było nierozważne poślubić mężczyznę, który wcześniej zaślubił morze.

Ivana westchnęła.

- Nie sądzę, że powinno to pana interesować, milordzie.

- Interesuje mnie pani bezpieczeństwo - odparł. - Może mógłby zostać przeniesiony i mieszkać tutaj z panią.

- Nie... wiem.

- Jeśli poda mi pani jego pełne nazwisko, stopień i nazwę statku, na którym służy, porozmawiam z lordem admirałem i dowiem się, co się z nim dzieje.

- Nie chciałabym, żeby się pan tym kłopotał.

- To dla mnie żaden kłopot. Nie musiałbym się wtedy martwić o panią.

- Teraz to też nie jest konieczne.

- Przeciwnie. To co dzisiaj się stało, łatwo może się powtórzyć. Widząc jak zadrzała, ciągnął dalej bez litości: - Następnym razem może mnie tu nie być, by panią uratować.

- Może wyjadę z nianią, jak tylko marynarze wydobrzeją.

- Kiedy to będzie?



- Za trzy lub cztery tygodnie.  
- Wszystko może się zdarzyć w tym czasie. Odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Proszę mnie już nie straszyć. W przyszłości będę kładła koło łóżka naładowany pistolet i drugi w gabinecie. Wasza lordowska mość może zabrać swoje tabakierki i złoty statek. Wtedy nie zostanie już nic cennego.

- Wręcz przeciwnie. Zostanie coś bezcennego. - Widząc jej pytające spojrzenie, powiedział cicho: - Pani! Ich oczy spotkały się. Dziewczyna nie mogła odwrócić wzroku. Wydawało się, że po wiekach milczenia markiz powiedział: - Wracamy do pytania, na które pani jeszcze nie odpowiedziała. Co z pani mężem?

Odwróciła głowę, tak że widział tylko jej sylwetkę na tle okna. Rysy miała równie doskonałe, jak Rose, lecz twarz bardzo uduchowioną o wyglądzie nie spotykanym u innych pięknych dam. Zachowała się bardzo dzielnie. Nie mając pieniędzy starała się pomóc rannym marynarzom. Jeśli każda kobieta w Anglii okazałaby podobną litość ludziom walczącym przeciwko tyranii Bonapartego, mniej ucierpieliby żołnierze biorący udział w tej wojnie. Na kilka minut zapadła cisza.

- Czekam! - powiedział markiz.  
- Nie mam nic do powiedzenia.  
- Czy nie chce pani, abym pytał o przyszłość pani męża?  
- Na pewno ma pan co innego do roboty. Proszę zapomnieć o Flagstaff House.

- Czy sugeruje pani, że powinniśmy znów zacząć walczyć ze sobą, jak mój ojciec z pani dziadkiem? Nie sędzę, żebyśmy potrafili obydwójce zachowywać się w ten sposób.

- Mam taką nadzieję.  
- Prościej będzie, jeśli zostaniemy przyjaciółmi, a pani pozwoli, bym się nią zaopiekował.

- Myślałam, że chce pan, bym zawisła na stryczku.  
- Czy naprawdę pani w to uwierzyła? Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Bardzo mnie pan wtedy nastraszył.  
- Taką miałem intencję, ponieważ uważałem, że zasłużyła pani na to. Teraz jednak uważam, że przede wszystkim zasłużyła pani na gratulacje i medal.

Oczy dziewczyny pojaśniały.

- Czy George i Tim przyczynili się do takiej zmiany zdania?

- Nie. Zrobiła to pewna dzielna dama, o imieniu Ivana.  
- Żartuje pan sobie ze mnie. Chciałabym usłyszeć zapewnienie, że nie pójdę do więzienia.

- Nie pójdzie pani.  
- I nie zwolni pan Marky'ego?  
- To już inna sprawa.  
- Jeśli nie chce mu pan przebaczyć, ja również muszę zostać ukarana. Mogę zostać powieszona, jeśli pan sobie życzy.

Markiz roześmiał się.

- Jak wszystkie kobiety, dotąd nie da mi pani spokoju, aż dostanie to, czego chce. No dobrze, Markham może zostać, ale ostrzegam, każdego miesiąca będę dokładnie sprawdzał księgi.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedziała składając ręce.  
- To taki dobry, taki szczodry człowiek. Myślę, że zabiłoby go cierpienie za to, co dla mnie zrobił.

- Na pewno zamęczała go pani tak jak mnie.  
- Nieprawda - zaprotestowała. - Nie podoba mi się zwrot „zameczać”. Brzmi okropnie i arogancko.

- W takim razie odwołuję to, co powiedziałem. Pod warunkiem, że pomoże mi pani, tak jak pomagała innym.

- Jak?

- Po pierwsze pojedzie pani ze mną do Brighton. W ten sposób wypełnię polecenie księcia i spotkamy się z panią Fitzherbert. - Skrzywił usta. - To raczej wątpliwy zaszczyt, bo musi pani wiedzieć, że ludzie związani z królem i królową, nie chcą mieć z nią do czynienia.

- Wierzę, że to dobra kobieta - powiedziała cicho Ivana. - Nie mam prawa sadzić kogokolwiek. Ale nie mogę jechać z panem.

- Nie widzę innego wyjścia. Jeśli, zgodnie z pani sugestią, moja żona utopi się lub zaginie w Indiach Zachodnich, ludziom wyda się dziwne, że doszło do tego tak szybko po naszym domniemanym ślubie. Nie będzie to dobrze o mnie świadczyło.

- Znów pan ze mnie żartuje - powiedziała. - Domyślam się, że tak naprawdę nie chce pan, abyśmy razem odwiedzili panią Fitzherbert.

- Ależ chcę. Księżę będzie zawiedziony, jeśli nie odpowiemy na jego zaproszenie w ciągu miesiąca.

Ivana załamała rękę.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? - zapytał. - Nie znam nikogo, kto lepiej potrafiłby odegrać tę rolę, zwłaszcza we własnym interesie. Na pewno może to pani dla mnie uczynić.

- Ależ to zupełnie inna sytuacja.

- Wydawało mi się, że rola kobieca będzie dla pani łatwiejsza niż męska.

Dziewczyna westchnęła.

- Proszę... niech mnie pan nie zmusza. Jeśli zawiodę pana lub powiem coś niewłaściwego, będzie się pan wstydził. Poza tym... nie mam odpowiednich sukni, by podjąć się tego zadania.

Przed oczami miała lady Rose. Wiedziała, że nie jest w stanie dorównać jej elegancją i urodą.

Taką kobietę powinien mieć przy boku markiz, jako żonę lub wybrankę serca. Ona nie mogła tego osiągnąć. Jakby domyślając się o czym myśli, markiz powiedział delikatnie:

- Książę uznał panią za piękną. Powiedział: „Najpiękniejsza markiza Veryan”, czyż nie tak?

- To nie jest prawdą, może powiedział to jako mężczyzna?

- Obawia się pani, co powiedzą kobiety? - uśmiechnął się.

- Oczywiście!

- I po to potrzebna pani piękna suknia, by móc im dorównać?

- Jak mogłabym sobie na nią pozwolić? - spytała ostro.

- Zawsze może pani sprzedać jeszcze jedną tabakierkę.

Odwróciła głowę.

- Znów pan ze mnie drwi.

- Może raczej dobrodusznie naśmiewam się. Jeśli pojedzie pani ze mną do Brighton, obiecuję, że będzie pani ubrana w najmodniejsze stroje, wzbudzając zazdrość innych kobiet.

- Czyżby sugerował pan, że kupi dla mnie te suknie? Nie mogę się na to zgodzić.

- Już za późno na konwencjonalne zachowanie. Nie po tym, jak przyjeżdżała pani do mojego domu jak do własnego, kradła zarobki mojej służby, wyprzedzała unikalną kolekcję mojego ojca i nakłoniła mojego zarządcę do współpracy. - Zdała sobie sprawę, że nie jest zdenerwowany, jak się tego spodziewała, a raczej rozbawiony. - Po tym wszystkim wzbranie się przed przyjęciem ode mnie sukni, kapelusza i pary rękawiczek jest bez sensu. - Przerwał na chwilę, a potem powiedział powoli: - Poza tym nie jest już pani młodą niewinną debutantką, która obawia się utraty reputacji i oczywiście niewinności.

Znów się zaczerwieniła. Pomyślał, że rumieniec na jej twarzy wygląda tak pięknie, jak słońce wschodzące nad widnokretem.

- Proszę... niech pan mnie nie zmusza... bym pojechała do Brighton - zaczęła błagać po chwili. - To będzie gorsze od tego, co do tej pory zrobiłam.

- Będę nad panią czuwał. Dopilnuję, by nie popełniła pani żadnego błędu. Przyrzekam, że będzie się pani dobrze bawiła.

- Widząc, że dziewczyna znów chce zaprotestować, dodał szybko:

- Zanim się tam wybierzemy, musimy tutaj załatwić kilka spraw. Mam nadzieję, że domyśla się pani, o co chodzi.

- Nie mam pojęcia.

- Musi się pani przenieść do Heathcliffe. To nasz miesiąc miodowy, a wieść o naszym małżeństwie może sprowadzić gości. Byłoby dziwne, gdyby moja żona mieszkała oddzielnie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy naprawdę pan tak uważa?

- Naprawdę. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Nawet jeśli pani nie będzie chciała odgrywać roli mojej żony, nie mam zamiaru zostawić was samych w towarzystwie pięciu kalekich mężczyzn, wydanych na pastwę jakiegoś złodzieja. - Wstał. - Nie mam zamiaru się z panią kłócić. Wracam do Heathcliffe, by wydać odpowiednie rozporządzenia. Przyślę po panią i nianię powóz, a lando po rannych. Travers przygotuje dla nich nocleg. Jak pani wie, Heathcliffe jest na tyle duże, by w razie potrzeby pomieścić całą armię, czy, raczej powinienem powiedzieć, marynarkę. Pani dom zostanie zamknięty, polecę, żeby ktoś go pilnował.

Spojrzał na oszołomioną, przestraszoną dziewczynę. Wpatrywała się w niego trzymając ręce na kolanach jak dziecko. Pomyślał, że wygląda pięknie; czysto i niewinnie. - Proszę zdać się na mnie - powiedział spokojnie i wyszedł z

pokoju. Dziewczyna nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu, nie mogła nawet oddychać, wsłuchiwała się tylko w jego kroki, gdy przemierzał hol.

## Rozdział 7

Nie mogę uwierzyć, że spędziłyśmy tutaj już pięć dni - powiedziała Ivana do niani zmieniając przed pójściem na herbatę strój do konnej jazdy na zieloną suknię.

- Nawet naszym chorym znacznie się poprawiło - odparła kobieta. - Chciałabym wierzyć, że to dzięki naszej opiece. Chyba jednak przede wszystkim dzięki dobremu jedzeniu u milorda. Nie zdawałam sobie sprawy z istnienia tak smacznego mięsa.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Słyszała to już kilka razy, wiedziała, że opiekunka cieszy się każdą minutą spędzoną w Heathcliffe. Miała do dyspozycji liczną służbę, z którą mogła rozmawiać, a kiedy były same, chwaliła porządek i sposób prowadzenia domu.

- Nie wyobrażam sobie, co zrobiliby dziadek, gdyby cię usłyszał - mawiała kpiąco Ivana.

Po tylu latach oszczędzania, podczas których musiały zastanawiać się skąd wziąć choćby pensa, były to wakacje, na które staruszka rzetelnie sobie zasłużyła. Ona również bardzo cieszyła się z pobytu w Heathcliffe. Mogła jeździć na wspaniałych wierzchowcach, a każde jej życzenie było natychmiast spełniane. Ponadto do towarzystwa miała dwóch przystojnych młodych mężczyzn. Często słyszała o ekstrawagancji markiza. Wyobrażała sobie mężczyznę głupiego i zainteresowanego wyłącznie przyjemnościami wielkiego świata. Okazało się, że jest bardzo odcytany, a rozmowy prowadzone przy posiłkach były błyskotliwe i pouczające. Często miała wrażenie, że bierze udział w jakiejś sztuce.

Prawdę mówiąc wszystko, co działo się w Heathcliffe, wydawało się literacką fantazją. Chociaż nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, z lękiem oczekiwała, kiedy zapadnie kurtyna i będzie musiała wrócić do swego

poprzedniego życia. Wieczorem leżąc w łóżku wspominała nie tylko wydarzenia dnia, ale również markiza. To zdumiewające, by tak przystojny mężczyzna nie zdawał sobie sprawy ze swego wyglądu albo nie przykładał do niego wagi. Podziwiała go też za siłę, tak dużą, że nawet najcięższy wysiłek fizyczny nie potrafił go zmęczyć.

Ponieważ nadal panował upał, obaj mężczyźni każdego ranka zażywali kąpieli w morzu. Wracali potem pełni energii i w dobrych humorach zasiadali do obfitego śniadania w towarzystwie Ivany. Galopowali, aż do zmęczenia koni, po rozległych polach Downs, odwiedzali te części majątku, których markiz nie widział od wielu lat, a dziewczyna opowiadała im związane z tymi miejscami legendy. Słuchali, żartowali, Anthony prawił jej wyszukane komplementy, które zaczęły ją śmieszyć, gdy się do nich przyzwyczaiła. Pochlebiał jej swym podziwem, ale cały czas zastanawiała się, co myśli o niej markiz. Wydawało się, że ją obserwuje albo podejrzewa o nowe skandaliczne czyny. Mógł też porównywać ją z lady Rose i innymi kobietami, którymi zachwycił się w przeszłości.

Schodząc na obiad w sukni noszonej podczas pierwszej wspólnej kolacji w Heathcliffe, marzyła o stroju, w którym zadziwiłaby markiza. Tylko raz, kiedy przypomniał jej słowa księcia, że jest najpiękniejszą markizą Veryan, wypowiedział się na temat jej urody i nigdy do tego nie wracał. - Pewnie bardziej podobają mu się kobiety jasnowłose, jak lady Rose - myślała z rozpaczą. Sir Anthony niemal namiętnie całował ją w rękę na dobranoc, natomiast markiz żegnał jedynie nieznacznym skinieniem głowy. Przyglądał się jej, lecz nie miała pojęcia o czym myśli.

Czas płynął nieubłaganie i już za dwa dni mieli wyjechać do Brighton. Jej przyszłość stała pod wielkim znakiem zapytania. Chciała o tym jeszcze raz z nim porozmawiać, nie



było jednak okazji, gdyż ciągle przebywali w towarzystwie sir Anthony'ego. Miała nadzieję, że uda jej się to zrobić wieczorem. Kiedy wracali na obiad, Anthony powiedział niespodziewanie:

- Mam zamiar wybrać się na wyścigi. Jedziesz ze mną, Justinie?

- Nie mogę pokazywać się publicznie bez Ivany, a suknie, które zamówiłem w Londynie, jeszcze nie nadeszły.

- To prawda, nie powinieneś tego robić - przyznał przyjaciel. - Pojadę sam. Przygotuję grunt i dowiem się, co ludzie mówią o twoim potajemnym małżeństwie. Markiz nie odpowiedział. Dziewczyna spojrzała na niego nerwowo. - Księżę na pewno zapyta, kiedy przywieziesz Ivanę z wizytą do pani Fitzherbert - zauważył Anthony.

- Powiedz, że w połowie przyszłego tygodnia. Zasugeruj delikatnie, że nie chcielibyśmy napotkać zbyt wielu gapiów. Lepsze będzie spotkanie tylko z panią Fitzherbert i jego wysokością.

- Nie sędzę, żeby mnie posłuchał. Wiesz dobrze, że w Pawilonie Królewskim każdy pretekst jest dobry do zorganizowania przyjęcia.

Ivana krzyknęła.

- Proszę! Niech go pan przekona, żeby nie zapraszał wszystkich przyjaciół markiza. Będę się bardzo bała, jeśli...

Zamilkła, jakby nie potrafiła wyrazić tego słowami. Bała się, że markiz zajęty innymi kobietami, nie będzie mógł się nią opiekować. Widząc jej zakłopotanie, markiz powiedział spokojnie:

- Przyrzekam, że nie będzie tak źle, jak sobie pani wyobraża. - Popędził konia i już nie miała okazji, by z nim porozmawiać.

Pierwszy raz od swojego przyjazdu Ivana miała jeść posiłek tylko w towarzystwie markiza. Postanowiła, że nie

będzie go zanudzała swymi obawami, lecz spróbuje zabawiać, tak jak zrobiłaby to kobieta pokroju lady Rose. Nie mieli jednak okazji do rozmowy na osobiste tematy, ponieważ cały czas w pokoju był Travers i nowi lokaje. Na szczęście bez trudu potrafiła poprowadzić interesującą rozmowę, a nawet pobudzić markiza do śmiechu. Po obiedzie zaproponował przejażdżkę na wybrzeże. Jadąc na wspaniałym wierzchowcu w towarzystwie markiza, nie chciała niczym zepsuć tych radosnych chwil niewysłowionego szczęścia.

Niania pomagała jej zapiąć suknię, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Kobieta aż musiała się cofnąć, żeby trzech służących mogło wnieść do pokoju niezliczone paczki i paczuszki. Jak się domyślała, w podłużnych pudełkach były suknie, a w okrągłych kapelusze. Nie miała pojęcia, co znajduje się w reszcie pakunków. Było ich tak dużo. Patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Właśnie przywieziono je z Londynu - wyjaśnił niani lokaj. - Woźnica przeproszał, że się trochę spóźnił, ale drogi okazały się bardzo zatłoczone.

- No cóż, wreszcie są i to jest najważniejsze - odpowiedziała kobieta.

Kiedy mężczyźni wyszli z pokoju, Ivana odzyskała głos.

- Ależ one wszystkie nie mogą być dla mnie...

- Nie podejrzewam, aby jego lordowska mość nosił suknie kupowane na Bond Street - powiedziała opiekunka zerknąwszy na nazwy widniejące na pudełkach.

Zbyt podniecona, by czekać, zaczęła rozpakowywać suknie, pelisy, koszule nocne, koszulki i szale. Ivana wzdychała, kiedy niania pokazywała jej po kolei każdą suknię, odkładając je później na łóżko. Wkrótce całe zostało pokryte przezroczytymi wspaniałymi strojami i opiekunka energicznie zabrała się do pudeł z kapeluszami. Nagle dziewczyna krzyknęła i wybiegłszy z pokoju ruszyła na dół.

Spodziewała się, że znajdzie markiza w jednym z salonów, gdzie zazwyczaj pili kawę. Kiedy otworzyła drzwi, ujrzała na stoliku przygotowaną srebrną zastawę do herbaty. Markiz stał przy oknie i patrzył na ogród.

Odwrócił się i wyszedł jej na spotkanie.

- Jak pan mógł? Dlaczego daje mi pan... te wszystkie cudowne stroje? Pan wie, że nie mogę ich przyjąć.

Uśmiechnął się.

- To by było dziwne, gdyby jako moja żona nosiła pani tylko tę suknię, którą ma na sobie. Ciekaw jestem, jak wyglądałaby pani ubrana według najnowszej mody.

- Wiem, że nie powinnam przynosić panu wstydu w czasie wizyty u księcia Walii i pani Fitzherbert, ale to wystarczyłoby... wystarczyłoby...

Zamilkła, więc dokończył za nią zdanie.

- ...na wyprawę ślubną - powiedział spokojnie.

Machnęła ręką.

- Powiedział pan, że możemy spodziewać się gości - rzekła niemal oskarżycielsko. - Dlatego miałam być lepiej ubrana, ale przez ostatnie cztery dni nikt się nie pojawił... nie miało więc znaczenia, co mam na sobie.

- Źle pani zrozumiała. Tak się składa, że nie chciałem żadnych gości, musieli więc wracać do Brighton nic się nie dowiedziawszy, nie zdobywszy żadnych informacji, którymi mogliby uraczyć wszystkich ciekawskich - rzekł pogardliwym tonem.

- Nie chciałabym przeszkadzać panu w widywaniu się ze swymi przyjaciółmi... lub bawieniu się w ich kompanii.

- Przyznam, że jestem z tego zadowolony. Wkrótce jednak będziemy musieli zacząć bywać w towarzystwie.

Ivana westchnęła.

- Sądzę, że po naszej wizycie u księcia... najlepiej będzie jak... zniknę.

Jednak każda myśl o wyjeździe bolała ją, jak rana zadawana marynarskim nożem. Próbowwała myśleć, że to śmieszne, wiedziała przecież od dawna, że to nastąpi.

- Jak ma pani zamiar to zrobić? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Mam kuzynkę w Dover. Może będę mogła zatrzymać się u niej na jakiś czas.

- To panią uszczęśliwi?

- To nie będzie długa wizyta. Po pańskim wyjeździe mogłabym wrócić do Flagstaff House.

- Chyba uzgodniliśmy, że to dla pani zbyt niebezpieczne?

- Jeśli nie zabierze pan ze sobą Traversa do Veryan lub innego ze swych domów, mógłby uważać na mnie. Gdy nie odpowiedział, dodała szybko: - Oczywiście, jeśli się pan zgodzi. Przyrzekam, że już nigdy nie będę wykorzystywała pańskiej służby, chyba że za pańskim pozwoleniem.

- Czy nie uważa pani, że ludzie zaczną się dziwić, iż nowa markiza Veryan nie mieszka ze swym mężem?

- Myślałam, że nikt się o tym nie dowie.

- To raczej niemożliwe.

- Muszę więc wyjechać gdzieś dalej - powiedziała cicho. - Może do Szkocji lub Irlandii, gdzie nikt mnie nie zna.

Pomyślała, że może to być nie tylko niebezpieczna, ale i kosztowna podróż. Może się okazać, że nie stać ją, by wynająć jakiś dach nad głową.

- Chciałbym jeszcze raz zapytać panią, czy pobyt w Irlandii, Szkocji lub innym zakątku uszczęśliwi panią?

Pragnęła odpowiedzieć, że będzie to dla niej okropne, ale ponieważ nie chciała, by poznał, co naprawdę czuje, odparła:

- Sądzę, że się do tego przyzwyczaję... może się czymś zajmę.

- Zapomina pani w swoich planach o bardzo ważnej sprawie. Spojrzał na jej obrączkę, więc domyśliła się od razu,

co miał na myśli. Ponieważ od jej przyjazdu do Heathcliffe nie wspominał o jej mężu, myślała, że coś odwróciło jego uwagę. Nagle markiz wyciągnął do niej rękę i ujął jej dłoń. - Mam dla pani pewną propozycję, nad którą rozmyślałem już od jakiegoś czasu. - Poczł jak jej palce zadrżały nerwowo w jego dłoni.

- Jaka? - spytała niespokojnie. Zdjął obrączkę z jej ręki.

- To już chyba niepotrzebne. Na to miejsce chcę założyć coś bardziej odpowiedniego. - Wyjął z kieszeni pierścionek i wsunął jej na palec. Była tak zaskoczona, że nie mogła się ani poruszyć, ani zaprotestować. Patrzyła na piękny pierścień z wielkim diamentem, który lśnił oślepiająco w słońcu. - Uważam, że udawanie mężatki było bardzo mądrym posunięciem z pani strony przy tym, co pani robiła. Cały czas czułem, że mityczny mąż w ogóle nie istnieje. Ciagle zapominała pani o nim.

- Domyślił się pan? - wyszeptała.

- Prawie od początku. Nie tylko nie umie pani kłamać, ale również nie wygląda na mężatkę. Nawet Anthony to zauważył, gdy tylko ujrzał panią pierwszy raz.

Dziewczyna stała patrząc na pierścionek.

- Jest piękny, ale by przekonać księcia, musiałabym mieć jeszcze... obrączkę.

- Dostaniesz ją, ale dopiero po ślubie. - Drgnąwszy spojrzła na niego rozszerzonymi oczami. Zobaczyła, że się uśmiecha. - Nieco okrężną drogą moja ukochana, próbuję zapytać cię, czy chcesz zostać moją żoną.

Przez chwilę nie mogła nawet oddychać, potem prawie bezgłośnie wyszeptała:

- Co... takiego? Czy... naprawdę...?

- Naprawdę mam już dosyć udawania, że jesteś mężatką. Niespodziewanie dla samego siebie odkryłem, że chciałbym zostać twoim prawdziwym mężem.

- Czy to... prawda?

- Zastanawiałem się nad tym od samego początku. Aż wreszcie zrozumiałem, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Nie mówisz tego tylko dlatego, że tak wypada albo po to, by zwieść księcia Walii?

- Potrafiłbym oszukać księcia lub kogokolwiek innego, ale dłużej nie potrafię oszukiwać siebie. Kocham cię. Czy to chciałaś ode mnie usłyszeć?

Ujrzał jej błyszczące oczy i rozpromienioną twarz. Objął ją i przyciągnął do siebie, odnajdując jej usta. Dla Ivany jego pocałunek był jak cud zrodzony z łez i strachu. Poczowała się jak uniesiona w blask słońca. Nikt nigdy jej nie całował. Dzięki ustom ukochanego poznała ekstazę, więc odpowiedziała mu z radością i uniesieniem ogarniającym jej ciało. Niepodobieństwem było odczuwać coś bardziej wspaniałego, idealnego. Przysunęła się do niego myśląc, że to sen. Wypełnił cały jej świat. Nic nie istniało poza wspaniałością jego ust i schronieniem jego ramion.

Czuję się bezpieczna. Bezpieczna! - myślała. - Nigdy już nie zaznam strachu.

Markiz całował ją zaborczo, namiętnie, aż zabrakło jej tchu. Zupełnie nie mogła zebrać myśli. Podniósł głowę.

- Moja droga, moja słodka! - powiedział niespokojnym głosem. - Nie mogę uwierzyć, że żaden mężczyzna dotąd cię nie całował.

- Jesteś jedyny. Nie zdawałam sobie sprawy, że pocałunek może być tak cudowny.

- Powiedz, co czujesz - spytał.

- Kocham cię. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam... Nie zdawałam sobie sprawy, że to miłość, dopóki nie zamieszkałam w Heathcliffe.

- A wtedy, co czułaś?

- Obawiałam się chwili... kiedy będę musiała wyjechać i nigdy cię już nie zobaczę.

- To się nigdy nie zdarzy. Jesteś moja, tylko moja. Będziemy zawsze razem, we dnie i w... nocy. Powiedziawszy wolno ostatnie słowa, obserwował rumieńce pojawiające się na jej policzkach. Przyciągnął ją znów do siebie. - Moja ukochana, niewinna istotko. Jak ktoś mógłby pomyśleć, że zameżna kobieta potrafi się tak rumienić?

- Myślałam, że mi uwierzyłeś, nawet wtedy, gdy zadawałeś te kłopotliwe pytania dotyczące mojego męża.

- Ja będę twym jedynym mężem. Pamiętaj, teraz gdy nosisz mój pierścionek, nie pozwolę Anthony'emu flirtować z tobą tak niegodziwie. - Zobaczywszy pytanie w jej oczach, dodał:

- Byłem zazdrosny, szaleńczo zazdrosny o mojego najlepszego przyjaciela. Bałem się, że zakochasz się w nim i nic na to nie poradzę.

- Dla mnie liczyłeś się tylko ty. Przytuliła się do niego. Ujął jej podbródek i spojrzał w oczy.

- Jestem taki szczęśliwy, że cię znalazłem. Chciał ją pocałować; ale wyszeptała:

- Tak się bałam, tak strasznie się bałam, że zmienisz zdanie i mimo wszystko będziesz chciał poślubić piękną lady Rose.

- Nigdy tego nie pragnąłem - powiedział stanowczo. - Jeśli się jej obawiasz, przyrzekam, że w moim życiu nie będzie już żadnej Rose, ani innej kobiety podobnej do niej. Wiem teraz, że przez całe życie szukałem ciebie, choć czasami w niewłaściwych miejscach.

- Będę się starała być taka... jaką mnie pragniesz - powiedziała skromnie. - Robić to, czego zapragniesz.

Roześmiał się.

- Wątpię w to. Masz taką niezwykłą osobowość, moja ukochana, że na pewno będziesz mnie ciągle intrygować, zachwycać przez wszystkie lata, które ze sobą spędzimy. - Dotknął ustami jej delikatnego policzka. - Nawet w najdziwniejszych snach nie wyobrażałem sobie, że poślubię rozbójnika. - Przytulił ją mocniej. - Bardzo elegancko wyglądałaś w spodniach, ale teraz nie będziesz już ich nosić. Nie chcę, by widział cię w nich inny mężczyzna oprócz mnie.

- Wygląda na to, że cię zaszokowałam.

- Owszem, czułem się zaszokowany, że obrabowała mnie kobieta, ale jeszcze bardziej tym, że ta kobieta jest najcudowniejszą i najpiękniejszą istotą, która zostanie moją żoną.

Westchnęła szczęśliwa.

- Może nie powinieneś mnie poślubić. Możesz się mną rozczarować, gdy ujrysz mnie wśród swych przyjaciół i zaczniesz porównywać z innymi pięknymi kobietami, które na pewno kochają cię tak jak ja.

Dostrzegła, że z czułością spojrział w jej przestraszone błękitne oczy.

- Sądzę, że miłość, która nas połączyła, moja najdroższa, różni się od uczucia, o którym rozprawia się tak lekko w wielkim świecie.

- Moja miłość do ciebie jest święta, jest darem od Boga - powiedziała miękko. - Wypełniasz cały mój świat. Pragnę jedynie i modłę się o to, bym uczyniła cię szczęśliwym.

Objął ją tak mocno, że prawie nie mogła oddychać.

- Takiej właśnie miłości szukałem - powiedział. - Myślałem, że już nigdy jej nie odnajdę. - Pocałował jej dołeczki w policzkach i dodał: - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Tak jak ty chcesz podarować mi szczęście, ja pragnę ofiarować ci słońce, księżyc, gwiazdy i miłość, jakiej jeszcze nie zaznała żadna kobieta.



- Mówisz... takie cudowne rzeczy. Najpierw bardzo mnie wystraszyłeś... potem, kiedy się w tobie zakochałam, wydawałeś się taki nieosiągalny. Nigdy nie myślałam, że będziemy tak blisko siebie, jak teraz.

- Będziemy jeszcze bliżej. Najpierw jednak weźmiemy ślub. - Uśmiechnął się czule, ujrawszy rumieniec na jej policzkach.

- Poślę Markhama do Canterbury po specjalne pozwolenie. Potem, moja ukochana, wczesnym rankiem weźmiemy cichy ślub w kościele we wsi, tylko w towarzystwie Anthony'ego jako świadka. Czy jesteś zadowolona?

- To takie wspaniałe. Chyba się zaraz rozpłaczę.

- Nie płakałaś, kiedy straszono cię nożem. Nie płakałaś też, kiedy powiedziałem, że czeka cię stryczek. Jeśli teraz zaczniesz płakać, pomyślę że wcale nie uczyniłem cię szczęśliwą.

Ivana otarła łzy. Wyglądała przy tym tak cudownie, że nie mógł się powstrzymać, by nie pocałować ją najpierw w policzek, a potem w zgrabną szyję.

Poczuła dziwny dreszcz przebiegający przez ciało i rozchyliła wargi.

- Proszę... proszę... - wyszeptała. Podniósł głowę.

- Czy nie chcesz bym cię całował, ukochana?

- Chcę... ale zaczynam się czuć taka... pobudzona, taka... dzika.

Uśmiechnął się.

- Chciałem byś tak się czuła. Tyle cię muszę, jeszcze nauczyć.

Przysunęła się bliżej do niego.

- Naucz mnie, proszę... naucz.

Spojrzał na nią z czułością, jakiej nie okazał żadnej kobiecie.

- Uwielbiam cię - opowiedział miękko.

- I ja cię kocham. Kocham cię... Kocham! - powiedziała tak namiętnie, że znów zapragnął jej ust. Całował ją tak, że pokój zdawał się wirować wokół nich. Znów poczuła jak coś unosi ją ku słońcu. Potem, gdy uwolnił jej usta, jakby zerwała się jakaś struna i dziewczyna szepcząc coś bez związku, ukryła twarz w jego ramionach. Usłyszała bicie jego serca tak szybkie jak jej. Ucieszyła się, że potrafi wzbudzić w nim takie uczucia. Przysunęła się do niego bliżej. - Jesteś taki... wspaniały - wykrzyknęła.

- A ty taka delikatna, słodka i piękna. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo pragnę cię całować od czubka głowy aż po koniuszki palców u stóp - mówił głębokim, namiętnym głosem.

- Zawstydzasz mnie - wyszeptała Ivana.

- Uwielbiam, kiedy jesteś zawstydzona. Zapomniałem już, że istnieją na świecie kobiety, które potrafią się rumienić. Twoje onieśmienie, moja ukochana, napełnia mnie uczuciem, jakiego do tej pory nigdy nie zaznałem. - Pocałował ją w czoło mówiąc: - Spójrz na mnie. Gdy podniosła głowę, powiedział ochryplym głosem: - Pragnę cię... teraz i na wieczność. - Słowa te zdawały się pochodzić z głębi jego duszy. Próbując się uspokoić, rzekł: - Powinienem mieć do ciebie pretensję, moja najśliczniejsza, ponieważ ukradłaś mi coś jeszcze.

- Ukradłam? - spytała.

- Skradłaś mi serce. Sądziłem, że jest zupełnie bezpieczne, nawet wobec najlepszych i najbardziej doświadczonych złodziei. Tymczasem straciłem je. Pozostanie twoje na zawsze.

- Będzie ze mną na wieki. Będę je kochać, a dopóki je mam, nie liczy się cały świat.

Ostatnie jej słowa stłumił pocałunkiem. Kiedy całował ją mocno, natarczywie, namiętnie, wiedziała, że znaleźli to, czego ludzie szukają, wspaniałą miłość, której nie można skraść, gdyż może być dana tylko przez Boga.